TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 45 (1039)
6 LISTOPADA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

Włodzimierz Majakowski: Radziecki pociąg agitacyjny

ANDRZEJ BLAJER

SYMBOLE DZIEJOWEGO PRZEŁOMU

DO OBYWATELI ROSJI!

Rząd Tymczasowy został obalony. Władza państwowa przeszła w ręce organu Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich – Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, który stoi na czele piotrogrodzkiego proletariatu i garnizonu.

Sprawa, o którą walczył lud: niezwłoczne zaproponowanie demokratycznego pokoju, zniesienie obszarniczej własności ziemi, kontrola robotnicza nad przemysłem, utworzenie Rządu Radzieckiego – ta sprawa jest zapewniona.

Niech żyje rewolucja robotników, żołnierzy i chłopów!

Tak głosiła odezwa wydana 7 listopada (czyli 25 października) 1917 roku przez Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. Tego samego dnia Włodzimierz I. Lenin, przemawiając na popołudniowym posiedzeniu Rady Piotrogrodzkiej, mógł triumfalnie obwieścić całemu światu, że robotniczo-chłopska rewolucja w Rosji stała się faktem.

Październik i Lenin – przełomowe wydarzenie bieżącego stulecia i człowiek, którego było dziełem – dwa nierozdzielne symbole nowego etapu historycznego, którego karta otworzyła się przed Rosją i światem właśnie 7 listopada 1917 roku. Od tamtego dnia upłynęło już 60 lat, a jednak wciąż jeszcze pojawiają się pytania, jak to się stało, że rewolucja dokonała się i odniosła zwycięstwo w kraju, którego warunki ekonomiczno-społeczne bynajmniej nie predestynowały do roli kolebki rewolucji? Czy nauka Marksa została tym samym odwrócona, a Lenin – organizator i wódz rewolucji sprzeniewierzył się własnej, od lat głoszonej idei? Co leżało u podstaw jego decyzji zapoczątkowania procesu rewolucyjnych przemian w kraju na wpół feudalnym, owładniętym niemocą organizacyjną, zdziesiątkowanym przez głód i nędzę, który dopiero co zaczął wkraczać w epokę kapitalizmu, w kraju, którego klasa robotnicza dopiero się tworzyła, a ogół społeczeństwa był pogrążony w krańcowym zacofaniu. I kim był ów człowiek, który podjął się dokonania rzeczy niemożliwej – gruntownej metamorfozy społeczno-politycznej wszechpotężnej „świętej Rosji" i to rękoma stu milionów analfabetów, z których niemal nikt nigdy nie słyszał o Marksie, jego idei wyzwolenia społecznego i niewiele o samym Leninie? A on sam – był bardziej filozofem czy też politykiem, który teorię dopasowywał do praktyki? Wielokrotnie i krańcowo zmieniał zdanie w kwestiach zasadniczych. Czy kierował nim jedynie zwykły pragmatyzm dla osiągnięcia doraźnych celów, czy też z żelazną konsekwencją parł do wytyczonego celu – dzieła swego życia – rewolucji, dobierając środki, jakie dyktował nie tylko cel, ale i nieustannie zmieniająca się sytuacja?

Dalszy ciąg na str. 3

DNI LITERATURY RADZIECKIEJ

PISARZE RADZIECCY Z WIZYTĄ W ŁODZI

Co roku jesienią cały nasz kraj żyje wielkim wydarzeniem kulturalnym, jakim są obchody Dni Literatury Radzieckiej. Prezentuje się wówczas społeczeństwu najnowsze filmy, książki, twórców kultury Kraju Rad, organizuje się spotkania z nimi. Wzmagają swoją działalność koła TPP-R.

W tym roku w związku z 60 rocznicą Wielkiej Rewolucji Październikowej, obchody Dni Literatury Radzieckiej zostały poszerzone o nowe i ciekawe formy propagowania literatury Kraju Rad.

Najważniejszym wydarzeniem tegorocznych „Dni" był przyjazd blisko 50-osobowej delegacji pisarzy radzieckich do Polski.

Delegacji przewodniczył **I sekretarz Związku Pisarzy ZSRR — Gieorgij Markow.**

W programie pobytu gości radzieckich były spotkania z czytelnikami, pracownikami kultury i twórcami polskimi, a także zwiedzanie niektórych naszych miast m. in. Łodzi.

Do Łodzi przybyła 8-osobowa grupa pisarzy 23 października. W jej skład wchodzili: **Siergiej Michałkow** — wybitny poeta, prozaik i dramaturg, twórca hymnu radzieckiego, przewodniczący zarządu Związku Pisarzy RFSRR i sekretarz zarządu Związku Pisarzy ZSRR, laureat Nagrody Leninowskiej i Państwowej, Bohater Pracy Socjalistycznej: poetka **Fazu Alijewa** — redaktor naczelny „Kobiety Dagestanu": **Aadu Hint** — estoński prozaik i dramaturg, członek zarządu Związku Pisarzy ZSRR, **Anatolij Krawczenko** — poeta ukraiński: **Anatolij Kudrawiec** — białoruski prozaik, kierownik Sekcji Literatury w Wydziale Kultury KC KPB: **Paweł Nilin** — prozaik laureat Nagrody Państwowej ZSRR, członek zarządu Związku Pisarzy ZSRR: **Siergiej Ostrowoj** — znany poeta, oraz **Wiktor Tielpugow** — prozaik, przewodniczący Centralnej Komisji Rewizyjnej Związku Pisarzy ZSRR.

Goście przebywali w naszym mieście dwa dni. Pisarzy radzieckich przyjął **I sekretarz KŁ PZPR Bolesław Koperski.** W towarzystwie **sekretarza KŁ PZPR Zbigniewa Fallńskiego** zwiedzili oni miasto, złożyli wieńce pod **Pomnikiem Braterstwa Broni.** Uczestniczyli w otwarciu wystawy książki radzieckiej połączonej ze sprzedażą tych książek, a zorganizowanej przez ZŁ TPP-R przy współudziale Domu Książki w Łodzi i RSW „Prasa — Książka — Ruch".

Poza pisarzami w otwarciu wystawy uczestniczył **I sekretarz organizacji partyjnej przedstawicielstw handlowych ZSRR w Polsce W. Nawałocki i pełnomocnik Międzunarodnoj Knigi W. Iwanow.**

Odbyło się także wiele interesujących spotkań, m. in. z **czytelnikami i księgarzami w klubie MPiK, z bibliotekarzami w MBP im. L. Waryńskiego. Szczególnie mile było spotkanie z aktywem ZHP w Bibliotece Harcerskiej Domu Kultury przy ul. Żubardzkiej.**

Goście zwiedzili wiele łódzkich zakładów pracy a m. in. ZPO im. **„Próchnika" „Mera - Poltik" „Ortal" „Bistonę" i „Bonax", a także Centralne Muzeum Włókiennictwa, gdzie towarzyszył delegacji dyr. Adam Nahlik.**

Pisarze spotkali się także z **aktywem zakładowym ZTK „Teofilów"** w spotkaniu tym uczestniczył również **sekretarz KŁ PZPR Zbigniew Faliński.**

Na zakończenie pobytu goście radzieccy spotkali się ze **środowiskiem kultury w Muzeum Historii Miasta Łodzi.** Na spotkaniu łódzką instancję partyjną reprezentował **sekretarz KŁ PZPR Zbigniew Faliński,** a władze administracyjne m. Łodzi **Jan Morawiec.** Przemówienie wygłosił **dyrektor Wydziału Kultury i sztuki Wojciech Ekiert,** przewodniczący delegacji radzieckiej **Siergiusz Michałkow** oraz poetka **Fazu Alijewa.**

Pobyt gości radzieckich w Łodzi był niezwykle udany. Na spotkaniach, w czasie bezpośrednich rozmów z czytelnikami i twórcami kultury mieli oni możność zapoznać się z istotnymi problemami nurtującymi nasze społeczeństwo. Mieli także okazję przekonać się o ogromnej popularności literatury radzieckiej w naszym kraju.

Wizyta całej delegacji radzieckiej trwała jeszcze kilka dni. Z Łodzi pisarze wyjechali do Katowic.

KONFERENCJA RWPG

NOWE METODY KONSERWACJI ŻYWNOŚCI

Upowszechnienie nowoczesnych metod konserwacji środków spożywczych jest równie ważnym warunkiem łagodzenia kryzysu żywnościowego, jak modernizacja rolnictwa i przetwórstwa spożywczego oraz wykorzystanie niekonwencjonalnych źródeł białka. Każdego roku marnuje się w naszym kraju koło pięć procent zbiorów zboża i kilkanaście procent zbiorów ziemniaków. Oznacza to bezpowrotną stratę milionów ton cennych płodów rolnych. Według danych FAO, w krajach rozwijających się (także i tam, gdzie śmierć głodowa stała się zjawiskiem powszednim), straty te są jeszcze większe i dochodzą do 50 procent. Główna przyczyna ubytków jest brak skutecznych metod przechowywania żywności.

Od wielu lat uczeni całego świata pracują nad znalezieniem najbardziej efektywnych sposobów konserwacji i magazynowania produktów spożywczych. Do bardziej obiecujących należy metoda radiacyjna. Napromieniowane ziemniaki zachowują swój wygląd i wartości odżywcze nawet po upływie dwunastu miesięcy. Równie korzystne efekty przynosi radiacyjne utrwalanie warzyw, zbóż i mięsa. Mimo to, z ogromnym trudem nowa metoda toruje sobie drogę do praktycznych zastosowań. Techniki radiacyjne są kosztowne, gdyż wymagają znacznych nakładów na budowę dużych źródeł promieniowania. Jednak nie bariera ekonomiczna, a psychologiczna decyduje o niechęci do metody radiacyjnej. Nieufność i lęk przed promieniowaniem jonizującym, tzw. kompleks Hiroszimy, trudno przełamać racjonalnymi argumentami nauki. Jak twierdzi prof. dr. hab. Jerzy Kroh, dyrektor Międzyresortowego Instytutu Techniki Radiacyjnej Politechniki Łódzkiej, napromieniowana żywność jest całkowicie bezpieczna dla zdrowia. Żadna ze stosowanych w przechowalnictwie metod nie była tak gruntownie zbadana jak radiacyjna. Wieloletnie doświadczenia żywieniowe wykazały brak jakichkolwiek szkodliwych dla organizmu działań ubocznych. Dla uczonych nie jest to żadnym zaskoczeniem. Po pierwsze dlatego, że stosowane dawki promieniowania jonizującego są stosunkowo małe. Po drugie — nie może być mowy o radioaktywności produktów, ponieważ zarówno ilość i rodzaj emitowanej energii, jak też konstrukcja stosowanych źródeł wykluczają możliwość powstawania promieniotwórczości wzbudzonej.

Często spotykany zarzut, że napromieniowanie ze źródeł kobaltowych powoduje powstawanie tzw. wolnych rodników, mających działanie rakotwórcze, też nie może być podstawą do rezygnacji z nowej metody. W produktach spożywczych obecność wody skraca czas życia wolnych rodników, na tyle, że w momencie konsumpcji zagrożenie, praktycznie biorąc, nie istnieje. Wcale nie mniej wolnych rodników tworzy się podczas smażenia i pieczenia potraw, a np. palona kawa zawiera ich wielokrotnie więcej niż napromieniowana żywność. Ilości te dokładnie badano przy pomocy mikrofalowych spektometrów elektronowych. Naukowcy twierdzą, że ze względu na dokładność przyrządów oraz dużą liczbę przeprowadzonych prób, możliwość pomyłki jest tutaj wykluczona. Jedyną, oprócz wysokich kosztów, wadą metody radiacyjnej stanowią niewielkie zmiany smaku napromieniowanej żywności i to tylko przy nieco większych dawkach napromieniowania. Wcale nie mniejsze zmiany smakowe powoduje zamrażanie, czy pasteryzacja, a przecież mrożone ryby, mięso i owoce, pasteryzowane mleko i śmietana częściej trafiają na nasze stoły. Zresztą i na zmiany smakowe jest rada. W wielu przypadkach skutecznie im zapobiega łączenie metody radiacyjnej z termiczną.

Międzynarodowa Organizacja Zdrowia, która wydaje ostateczne decyzje o wprowadzeniu artykułów do konsumpcji, szeroko zajęła się problemem stosowania technik radiacyjnych w przechowalnictwie. Na wspólnym posiedzeniu z ekspertami FAO i Agencji Atomowej we wrześniu ubiegłego roku uznano, że od strony prawnej metodę radiacyjną należy traktować jako równorzędną z innymi, stosowanymi dotychczas w przechowalnictwie. Specjaliści podkreślili wówczas skuteczność i nieszkodliwość technik radiacyjnych.

Duża skuteczność jest wynikiem bezpośredniej likwidacji przyczyn psucia się żywności. Należą do nich zarówno zmiany fizjologiczne w produktach spożywczych, jak też niszczące działanie szkodników i mikroorganizmów. Procesy fizjologiczne prowadzą do powstawania nowych, młodych tkanek, np. kiełkowania ziemniaków i wyrastania szczypioru z cebuli. Promienie gamma skutecznie niszczą powstające tkanki i na dłuższy czas zapobiegają dalszym zmianom.

Ogromne spustoszenia, szczególnie w zbożu, powodują szkodniki żyjące na polach i w magazynach. Aby zapobiec ich niszczycielskim działaniom, w laboratoriach prowadzi się bodowle samców, które po wysterylizowaniu tracą zdolności rozrodcze. Z braku reprodukcji następuje stopniowe wyniszczenie całej populacji. Powyższa metoda daje bardzo dobre rezultaty w walce ze szkodnikami polowymi. Szkodniki magazynowe, np. w elewatorach zbożowych, można zwalczać metodą radiacyjna równie skutecznie.

Częsta przyczyną psucia się żywności są zmiany wywołane przez mikroorganizmy. Okazuje się, że nawet bardzo groźne drobnoustroje chorobotwórcze, jak salmonellę występującą np. w rybach, jajach i drobiu, można przy pomocy niewielkich dawek promieniowania zwalczyć o wiele skuteczniej niż przy użyciu tradycyjnych metod — sterylizacji, pasteryzacji i dezynfekcji.

Liczne zalety technik radiacyjnych sprawiają, że coraz więcej krajów stosuje je w przechowalnictwie żywności. Wiele państw dopuszcza już do obrotu towarowego produkty konserwowane przy pomocy promieniowania jonizującego. Pionierem w tej dziedzinie był Związek Radziecki, który zaczął stosować nową metodę prawie dwadzieścia lat temu. W latach sześćdziesiątych także w USA, Kanadzie, Japonii i Izraelu zaczęto radiacyjnie konserwować żywność. Obecnie w Holandii utrwala się w ten sposób m. in. pieczarki, szparagi i truskawki, w Kanadzie zboże i ziemniaki, w RFN ryby, na Węgrzech wprowadzono na rynek partie napromieniowanych pieczarek, cebuli i ziemniaków.

W Polsce badania naukowe nad możliwościami wykorzystania promieni jonizujących do konserwacji żywności podjęto w roku 1955, lecz zintensyfikowano je dopiero w roku 1966, gdy powstał w Politechnice Łódzkiej Międzyresortowy Instytut Techniki Radiacyjnej. Zespół naukowy, kierowany przez doc. dr hab. STEFANIĘ BACHMAN, prowadzi tu badania podstawowe i ściśle z nimi związane prace o charakterze praktycznym, które już w roku 1970 przyniosły pierwszy efekt — polską technologię dezynsekcji zbóż metodą radiacyjną.

Naukowcy z PŁ zbadali też warunki konieczne do wyjałowienia promieniami jonizującymi dodatków do żywności takich, jak żelatyna, przyprawy, enzymy przemysłowe. Niestety, wyniki uzyskane w MITR nie znalazły jeszcze swego zastosowania w przemyśle. Dotychczas w Polsce nie przeprowadzono jeszcze kompletnych doświadczeń żywieniowych i toksykologicznych na zwierzętach doświadczalnych. Jednak i u nas zaczęto ostatnio doceniać wagę zagadnienia. Zaspokojenie potrzeb żywnościowych narodu stało się przecież, obok intensyfikacji budownictwa mieszkaniowego, podstawowym celem w społeczno-gospodarczym rozwoju kraju.

Wyrazem wzrastającego zainteresowania wykorzystaniem technik radiacyjnych do przechowywania żywności była I Konferencja RWPG, która w dniach 11—14 października obradowała w Łodzi. Zorganizował ją Międzyresortowy Instytut Techniki Radiacyjnej PŁ wspólnie z Rolniczą Komisją Izotopową Wydziału Nauk Rolnych i Leśnych PAN. Uczeni dyskutowali nad stanem obecnym i przyszłością stosowania promieniowania jonizującego do konserwacji produktów rolnych.

PAWEŁ PATORA

PROBLEMY

O ARCHITEKTURZE TEATRALNEJ

Wróciłem niedawno z Monachium, gdzie w dniach od 18—25 września br. obradował światowy kongres FIRT (Federation International pour la Recherche Theatrale) czyli Międzynarodowego Stowarzyszenia Historyków Teatru. Stowarzyszenie to skupia ludzi teatru, różnych zresztą profesji i zainteresowań, tak praktyków jak teoretyków, w większości działających w instytutach i placówkach badawczych, chociaż należą do niego „wolni strzelcy", jak architekci czy technicy z tej branży. Zasięg terytorialny przynależności jest rzeczywiście w skali globu — od Japonii i Korei poprzez Europę i Afrykę do obu Ameryk. Polem zaś działalności zrzeszenia teatrologów są, m. in. tzw. konferencje docentów, organizowane przez Komisję Uniwersytecką — odbywają się te spotkania co dwa lata — oraz kongresy — co cztery lata, jak igrzyska olimpijskie, w coraz to innym kraju. Poprzedni kongres był w Pradze (1973), następny odbędzie się w NRD (1981). Członkami FIRT z Polski są Instytut Sztuki PAN i trzy nasze uniwersytety, które mają na razie status członków kandydatów, spośród nich — Uniwersytet Łódzki.

Tak się jakoś złożyło, że w kongresie monachijskim, ósmym z kolei, uczestniczyłem jako jedyny polski teatrolog. Tym bardziej mnie to obliguje do krótkiego raportu.

Tematem ramowym tych obrad była szeroko pojęta problematyka przestrzeni teatralnej, a więc rozważania dotyczące wzajemnych relacji, zachodzących w zakresie przestrzeni, techniki scenicznej, gry i społecznego odbioru. Te właśnie zagadnienia penetrowały referaty główne — było ich w sumie osiemnaście — dwa razy tyle wygłoszono komunikatów, z reguły uzupełniających wystąpienia podstawowe. Główne referaty zostały opublikowane (w wersji angielskiej i niemieckiej) i rozesłane na jakieś dwa tygodnie przed rozpoczęciem kongresu jego uczestnikom. Umożliwiło to zaznajomienie się z ich treścią wcale pojemną, w większości bardzo interesującą. Dodać by trzeba także, że i dyskusja była nadzwyczaj żywa, bogata w akcenty polemiczne, co nieczęsto się zdarza na tak licznym forum. Jednak w sumie dość trudno było przyswoić sobie tę potężną dawkę informacji, ustaleń, hipotez. Ale — cóż robić, takie obecnie organizuje się kongresy — giganty, obfite niepomiernie. Częściowym wyjaśnieniem, że miał on taki wymiar, może być to, iż dotąd, w sposób tak rozległy i z udziałem tylu specjalistów, nie rozważano tych zagadnień. Ograniczę się w swoim zdaniu sprawy do sygnałów informacyjnej natury.

Pierwszymi bohaterami stali się architekci, inżynierowie i historycy budownictwa teatralnego, wskutek czego oni narzucili swój punkt widzenia i oglądu, sterując tym samym ogólną refleksją, chociaż przedmiotem ich wystąpień były nie tylko wyłącznie zagadnienia techniczne. Jeśli by ująć treść kongresu w cykle problemowe, jednym z takich cyklów było budownictwo teatralne, rozpatrywane w przekroju historycznym, ale i budownictwo współczesne, pokazywane na przykładach dokonań wielu krajów. Przykładowo: H. Zielkke z Berlina Z. mówił o genezie powstania sceny iluzjonistycznej w okresie Renesansu, Anglik H. C. Baldry — o teatrze antycznym w kontekście recepcji społecznej. Z tej grupy wyróżniłbym referat G. C. Izenoura, wybitnego architekta amerykańskiego a zarazem uczonego z uniwersytetu Yale, nb. żarliwego dyskutanta — o początkach i formach rozwojowych budownictwa teatralnego w Stanach Zjednoczonych po II wojnie światowej. Najkrócej o tym referacie: zajął się tylko praktycznymi aspektami zagadnień audiowizualnych w teatrze, m. in. stopniem widzialności i słyszalności komunikatu teatralnego w zależności od konstrukcji widowni (np. sytuowanie miejsc odbioru). W świetle skrupulatnych obliczeń okazuje się, iż zwłaszcza stare gmachy teatralne grzeszyły wysokim procentem niewidzialności akcji. Nawiasem mówiąc — przekonaliśmy się o tym na własnych... oczach, oglądając a prawie nie... widząc mozartowskiego „Uprowadzenia z seraju" w rokokowym, wspaniałym Alt-Residenz (teatr Cuvillies) — usadowiono nas bowiem w lożach. Amerykanin zapoznał nas nadto z coraz częściej budowanymi w USA typami wielofunkcyjnych audytoriów, dającymi się dostosować w swojej wewnętrznej strukturze do odbioru przedstawień teatralnych, operowych, koncertów czy imprez parateatralnych. Kilka wystąpień koncentrowało się wokół spraw nowego budownictwa teatralnego w RFN. Niemcy zbudowali lub zrekonstruowali około pięćdziesięciu gmachów teatralnych w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Ilustrowała to ad hoc przygotowana wystawa projektów i fotogramów. W tym też cyklu mieścił się jedyny polski referat (B. Król-Kaczorowskiej) na temat przyczyn dokonywania restauracji historycznych teatrów u nas, pokazała to na przykładzie m. in. warszawskiego Teatru Wielkiego, Pomarańczarni, teatru gdańskiego. Został także opublikowany — również nieobecny w Monachium autor — referat radzieckiego teatrologa M. Barchina o formach rozwojowych architektury teatralnej w Związku Radzieckim w latach 1917—1940.

Zawiódł i słynny Giorgio Strehler, po prostu nie przyjechał, zajęty robotą teatralną. Na szczęście, napisał interesującą wypowiedź na temat relacji, zachodzących między sceną a widownią, i to ujętych w wyśmienitym wywodzie historyczno teatralnym a szczególnie zajął się środkami, uniemożliwiającymi maksymalne angażowanie widza w proces gry teatralnej. Rozważania te otwierały poniekąd drugi cykl problemowy, poświęcony zagadnieniom tzw. interakcji, modny od kilku lat termin, który musiał również pojawić się i w tej debacie. O tym traktowały referaty, interpretujące teatr jako interakcję i przestrzeń interakcyjną, o psychofizjologicznych determinantach architektury teatralnej czy — moim zdaniem najbardziej w tej mierze inspirujący referat wiedeńskiego teatrologa o funkcjach kulturowopolitycznych teatru.

Wreszcie trzeci cykl obejmował sprawy organizacji i statusu prawnego teatrów. M in. o trzech głównych formach organizacji teatralnej mówił b. wieloletni dyrektor teatru w Helsinkach, Timo Tiusanen, o postanowieniach i przepisach prawnych w dziedzinie budownictwa — Szwajcar z Wydziału Prawa Państwowego z uniwersytetu zurychskiego. Muszę powiedzieć, że i te kwestie raz po raz wracały w wypowiedziach dyskusyjnych, ani domyśleć się mogłem, iż są one, przy całej ich nieodzowności, aż tak powikłane, przynajmniej na tamtym obszarze.

Na zakończenie odbyła się przed kamerami tv, w owym pięknym rokokowym teatrze, o którym wspominałem z innej przyczyny, rozmowa między zaproszonymi spośród referentów, o znaczeniu i ewentualnych praktycznych konsekwencjach kongresowego spotkania. Prowadził ją nadzwyczaj sprawnie i błyskotliwie dyrektor opery monachijskiej. Podkreślić chciałbym, że ten dialog, sprowadzający się do rzeczowej wymiany doświadczeń i poglądów grupy fachowców, którzy w swoich krajach współtworzą kształt i kierunki we współczesnej architekturze teatralnej, nie jest bez znaczenia dla funkcjonowania społecznego teatru, dla jego form inscenizacyjnych, dzisiejszych i przyszłych.

Szkoda, iż u nas prawie się nie pisze o tych sprawach, że stanowią one domenę dyskusji, zarezerwowaną dla wąskiego grona specjalistów.

STANISŁAW KASZYŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

WIELKA SOCJALISTYCZNA REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA

ANDRZEJ BLAJER

SYMBOLE DZIEJOWEGO PRZEŁOMU

Dalszy ciąg ze str. 1

Podobnych znaków zapytania można by postawić jeszcze wiele. A przecież minione sześćdziesięciolecie samo udziela odpowiedzi w kwestii słuszności wyboru celu i środków jego realizacji, wystarczy spojrzeć na mapę współczesnego świata, aby sobie to w pełni uświadomić.

A zatem — paradoksy? Pozorne. Splot okoliczności, przypadek, fundamentalne sprzeczności między teorią a praktyką — to mit, mit, który rozwiewa się całkowicie w toku wnikliwej analizy procesu historycznego i ewolucji społeczno-politycznej zachodzącej w Rosji na przełomie XIX i XX wieku. Gdzież bowiem, jeśli nie właśnie w działaniach Lenina (zwłaszcza w okresie między rewolucją lutową a październikową) widać owo zdecydowane i bezkompromisowe dążenie do celu człowieka, który sprawdzając w rzeczywistych warunkach opracowany przez siebie model czyni to z pełną świadomością wyniku, jaki zamierza osiągnąć. Nie, wówczas nie może być mowy o przypadku, zaskoczeniu nieprzewidzianymi rezultatami, czy utracie kontroli nad realizowanym procesem — mogą, oczywiście, pojawić się błędy, ale badacz, który dokładnie zgłębił wszystkie tajniki procesu bez wątpienia wykryje źródła tych błędów i wyeliminuje je. Historia wykazała dowodnie, że w Rosji spośród licznego grona ówczesnych działaczy politycznych pretendujących do miana takiego badacza tylko jeden człowiek okazał się być nim w rzeczywistości — właśnie W. I. Lenin.

* * *

Rosja przełomu XIX i XX wieku — największy terytorialnie kraj świata był również krajem największych kontrastów. Nędza i ubóstwo ogółu wobec bogactwa i przepychu garstki. Zacofanie i analfabetyzm wobec wspaniałych pomników kultury europejskiej i światowej. Mocarstwo polityczne i militarne a zarazem gospodarczy karzeł, kraj, w którym po zniesieniu poddaństwa chłopów nadal utrzymywano feudalną wspólnotę wiejską, którego uprzemysłowienie odbywało się bez mieszczaństwa i w interesie państwa a nie jego obywateli, wreszcie kraj niemal sparaliżowany przez potężną machinę biurokratyzmu, przemożnemu wpływowi której nikt i nic nie było w stanie się oprzeć. Rozwiązanie tego splotu sprzeczności, w jaki uwikłała się ówczesna Rosja, leżało już odtąd tylko w sferze utopii.

Stara zasada Machiavellego, iż władcy winni się troszczyć jedynie o cel, a nie o środki, została w warunkach carskiego samowładztwa doprowadzona do absurdu — przed monarchami Rosji XIX w. nie było już żadnego celu, pozostał im tylko środek — aparat państwowy, moloch, który z konieczności zaczął służyć sam sobie, stając na straży tego, co już nie istniało i coraz bardziej się osłabiając. Efekty? Aż nader widoczne. Znierarchizowana piramida władzy nie dopuszczała do swobodnego kształtowania się jakichkolwiek prądów myślowych, nie było miejsca na samodzielność w działaniu nawet na rzecz systemu, obowiązywało ślepe posłuszeństwo. W rezultacie Rosja aż do upadku caratu nie posiadała ani konstytucji, ani parlamentu, ani nawet względnej wolności słowa, zaś tradycyjnymi zasadami spójności społecznej były — samowładztwo i prawosławie. Toteż przyczyny uwłaszczenia chłopów należy rozpatrywać raczej w kategoriach ekonomicznych niż politycznych. Proces uprzemysłowienia, który postępował dotąd bardzo powoli, wkroczył w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku w fazę intensywnego rozwoju. Po klęsce krymskiej władcy Rosji uświadomili sobie, że popieranie rozwoju przemysłu jest koniecznością, nieodzownym warunkiem umocnienia autokratycznych podstaw ich rządów. Przemysł natomiast wymagał istnienia siły roboczej, toteż należało wyzwolić chłopstwo. Tak też uczyniono, ale rzeczywista industrializacja kraju nie nastąpiła. Powód? Masy były zbyt ubogie, by mogły nabywać produkty przemysłowe, zaś do intensywnego rozwoju przemysłu potrzebny był kapitał, a skąd go wziąć, skoro w ówczesnej Rosji niemal nie było mieszczaństwa. Mimo to, pozostaje faktem, iż w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w gospodarce Rosji dokonał się znaczny postęp i stała się ona zdecydowanie częścią światowego systemu gospodarki kapitalistycznej, z szerokimi możliwościami rozwoju i z instytucjami kapitalistycznymi, przenikającymi głęboko do krajowego mechanizmu gospodarczego.

W miarę jednak jak dokonywała się ewolucja w ekonomicznej sferze życia Rosji, coraz potężniejsze stawały się siły domagające się zmian w sferze politycznej i społecznej. Uwydatniło się to szczególnie w latach 1900—1905, gdy niezadowolenie wzrastało: wysoka koniunktura związana z rozwojem kolejnictwa utraciła swój rozmach z chwilą, gdy zakończył się okres „startu". Rosja dotkliwie odczuwała skutki międzynarodowej depresji cyklicznej; wojna z Japonią została przegrana.

Na dalszą aktywizację nastrojów powszechnego niezadowolenia, które istniało już od dawna, lecz nie było jeszcze wybuchowe, wywierały przemożny wpływ m. in.:

— surowe, przestarzałe już rządy autokratyczne;

— szeroko rozbudowany, nie cieszący się uznaniem aparat biurokratyczny, który nie nadążał za tempem przemian gospodarczych i społecznych;

— wypowiadająca się jasno, ale politycznie nieudolna i rozdrobniona opozycja intelektualna;

— stawiające zdecydowany opór, nierosyjskie grupy narodowościowe w Cesarstwie;

— robotnicy miejscy dążący przede wszystkim do poprawy warunków pracy, do zapewnienia sobie wyższych, realnych płac;

— wzburzone od dawna i coraz bardziej niespokojne chłopstwo, nie godzące się z pozostałościami poddaństwa („obszczina" wiejska) — mimo postępu od 1861 roku.

A zatem konieczne były zmiany. Ale jakie? Tego właśnie nikt wówczas dokładnie nie wiedział. Każde ugrupowanie, działające zresztą w mniejszej lub większej konspiracji, uświadamiało sobie tę konieczność, ale tyle, ile było ugrupowań, tyle było również celów i programów. I niemal wszystkie były z góry skazane na porażkę, gdyż nie uwzględniały rzeczywistych przyczyn pogłębiającego się kryzysu systemu. **Biegiem historii sterują bowiem określone prawidłowości, a nie ludzkie nadzieje.**

Pod wpływem ożywczych prądów rewolucji francuskiej oświecone warstwy arystokracji, ziemiaństwa i korpusu oficerskiego zaczęły głosić idee wolności, równości i braterstwa: efekt — dekabryści zostali rozbici. Lud żył w skrajnie prymitywnych warunkach, a więc trzeba go najpierw uświadomić i dopiero potem zaszczepić idee rewolucji społecznej — efekt: naród ani drgnął, a agitatorów osadzono w więzieniach. A zatem odpowiedzią na terror niech również będzie terror — efekt: carobójców powieszono, a terrorystyczne organizacje zostały rozbite. Drogi bez wyjścia? A może porażki, błądzenie po manowcach to nieunikniona cena dążenia do prawdy, może to także tworzywo przyszłych sukcesów? **Każde doświadczenie rozwija i wzbogaca świadomość.**

Foto: Archiwum

W Rosji zaczyna dojrzewać ruch socjalistyczny, powstają pierwsze organizacje robotnicze, ich cele są już inne: **„narodnicy" ponieśli klęskę** bo zbytnio tkwili korzeniami w rosyjskiej rzeczywistości, chcieli uświadomić naród tkwiący w wielowiekowym zacofaniu, zastraszony nędzą i terrorem i **postanowili zbuntować chłopstwo; socjaliści,** a zwłaszcza **marksiści,** mieli ten sam cel, ale różnica polegała na tym, że **swe działanie skierowali na proletariat.** Czy słusznie? Przecież rosyjska klasa robotnicza była stosunkowo nieliczna i dopiero się formowała? Fakt, ale wielkie zakłady pracy (fabryki włókiennicze Rosji zatrudniały po kilka tysięcy ludzi) integrowały (poprzez wspólny los, niedolę) rozproszone dotychczas masy niedawnych chłopów pańszczyźnianych, uczyły solidarności, a przede wszystkim ułatwiały organizację i oddziaływanie na duże skupiska ludzi jednocześnie. I rzecz najważniejsza, robotników nie łączył z caratem jakikolwiek interes, wprost przeciwnie, zależało im tylko na tym, by skutecznie się od niego uwolnić.

Z grona licznych działaczy i teoretyków rosyjskiej socjaldemokracji (jak Plechanow, Struwe, Martow, Prokopowicz i inni) jedynie Lenin dostrzegł w tym (by później po mistrzowsku wykorzystać) ową prawdę historyczną, zasadę, z której mogła się narodzić rewolucja proletariacka: **panowanie każdej klasy unicestwia ta klasa, której interesy w niczym nie pokrywają się z interesami klasy rządzącej.** W podejściu do tej kwestii z całą wyrazistością unaocznia się różnica między Plechanowem (ówczesnym głównym teoretykiem marksizmu) a Leninem. Ten pierwszy dostosowywał teorię Marksa do warunków rosyjskich, ale tylko w sferze teorii, nie orientując się zupełnie w sytuacji rewolucjonistów w kraju. Lenin zaś był praktykiem, połączeniem myśliciela z politykiem, toteż traktował marksizm jako filozofię czynu, jako światopogląd, który nie tylko daje obraz świata (dla Plechanowa świat był wzorem, który chciał on rozwiązać pod względem logicznym), ale także umożliwia dokonanie zmian w społeczeństwie i ludziach. Teoria interesowała go tylko o tyle, o ile miała związek z praktyką, toteż nie usiłował wyjaśniać problemów ogólnych, obracał się w sferze konkretnych zagadnień i dlatego polityka była wierną ilustracją jego myśli. Dzięki temu, że zwracał zawsze uwagę na otaczającą go rzeczywistość i traktował teorię jako narzędzie pomocne do jej zmiany, dostrzegł, że **ideę Marksa, choć odnosiła się do kapitalistycznych mocarstw Europy, można było dostosować również do warunków Rosji, tak przecież innej niż Niemcy, Anglia i Francja. Rzecz polegała na tym, że tylko Lenin tę „inność" rozpoznał.**

I oto nadchodzą wydarzenia roku 1905. Styczeń: „krwawa niedziela" w Piotrogrodzie, lud niesie manifest do cara, błaga o położenie kresu uciskowi i bezprawiu. Salwa do tłumu. Październik: strajk powszechny. Naród rosyjski, sięgając po tę najpotężniejszą broń XX wieku, pokonał w ciągu kilku miesięcy drogę z epoki średniowiecza do współczesności. Wiadomo przecież, że można zmasakrować tysiące ludzi, ale nie miliony. Car był zmuszony ustąpić i ogłosić manifest, w którym obiecał przywileje oraz ustanowienie formy parlamentarnej — Dumy. Zwycięstwo? Lata 1907—1911 dają na to wystarczającą odpowiedź. Wniosek — **tak długo, jak carska władza nie zostanie obalona, nie może być mowy o pełnym zwycięstwie ludu. A zapewnić je może tylko rewolucyjna walka proletariatu wspieranego przez masy ludowe, które** — jak wykazały nauki rewolucji 1905 roku — **nie mają innego wyjścia, jak stanąć po stronie walczących robotników.**

Lenin zdawał sobie doskonale sprawę z ówczesnego układu sił: po jednej stronie ogromna machina państwowa z wielomilionową armią, aparatem ucisku, po drugiej zaś kilka, może kilkadziesiąt tysięcy rewolucjonistów znajdujących się zresztą w więzieniach lub na emigracji. Ale znał również i tę prawdę, że im bardziej jakiś ustrój dojrzewa do zagłady, tym bardziej staje się on zdany na łaskę losu. W takim przypadku zagładę można opóźnić lub przyśpieszyć, ale trudno jej uniknąć. Wiedział też, że rewolucja to największe odurzenie ludzkości i kto raz poznał jej smak, ten go już nigdy nie zapomni. To właśnie dawało pewność, **że lud, który miał możność choć na krótko poczuć dobrodziejstwo wolności, nie zrezygnuje ze zdobycia jej na zawsze.** Moment ten stawał się coraz bardziej realny. Kryzys wewnętrzny przybierał na sile a tradycyjne podpory reżimu były już bardzo nadwątlone. **Ale oto wybucha I wojna światowa.** Okaże się ona katalizatorem zagłady caratu, dokonuje bowiem tego, czego nie była w stanie uczynić żadna organizacja rewolucyjna, żadna partia: **jednoczy i przeobraża w świadome masy niemal całe rosyjskie chłopstwo.** A tymczasem w kraju panuje głód, przemysł pracuje dla potrzeb frontu, nie ma komu uprawiać ziemi, armia rosyjska ponosi druzgocące klęski. Nie ma już patriotycznego entuzjazmu, w zamian pojawia się powszechne niezadowolenie, które stopniowo przeradza się w gniew i nienawiść.

W tej atmosferze, w czwartym roku wojny dochodzi do **wydarzeń lutowych** w Piotrogrodzie. Przez stolicę przewala się fala strajków. Sytuacja pozornie nie wydaje się groźna, ale reżim już przegnił do tego stopnia, że byle podmuch jest go w stanie obalić, a **lud nie domaga się** — jak w 1905 roku — **tylko chleba, ale i wolności,** a to już nieuchronny symptom rewolucji. Biegu historii już nikt nie jest w stanie zatrzymać. Tama pęka. Carat upada. Władzę przejmuje Rząd Tymczasowy. Paradoks — ci, którzy go utworzyli, tym właśnie określeniem od początku postawili pod znakiem zapytania własną egzystencję, wszystkie ich poczynania to działania w imię jakiegoś nieokreślonego porządku prawnego, choć żaden porządek już nie istniał. Lud również nie stoi w miejscu, **pojawiają się organizacyjne formy władzy proletariatu: Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich** (instytucjonalny twór sytuacji, jak w 1905 roku, a zarazem symbol rosyjskiej rewolucji).

Nie próżnują socjaldemokraci, a zwłaszcza marksiści. 3 kwietnia 1917 roku Lenin powraca do kraju i natychmiast rzuca się w wir walki politycznej. **Nie wolno dopuścić, by rewolucyjny zapał mas ostygł zanim nie zostanie zrealizowany główny cel rewolucji — przejęcie władzy przez proletariat i masy ludowe.** W swym rozumowaniu kieruje się przesłankami klasowymi, dokonuje analizy sytuacji, celów i interesów poszczególnych klas oraz reprezentowanych przez nie partii politycznych. Wnioski ujmuje w słynnych **„tezach kwietniowych"** (programie partii bolszewickiej): **należy położyć kres zaborczej wojnie; przejść od pierwszego etapu rewolucji, w której jedna klasa obala rządy innej klasy i zajmuje jej miejsce** (wskutek niedostatecznego uświadomienia i zorganizowania proletariatu władza znalazła się w rękach burżuazji), **do drugiego — etapu, gdzie jeden ustrój społeczny zajmuje miejsce drugiego** (to znaczy, kiedy władza przejdzie całkowicie w ręce proletariatu); **rozwiązać armię i policję; przeprowadzić konfiskatę majątków obszarniczych; utworzyć bank ogólnonarodowy pod kontrolą Rady Delegatów.** Postuluje reorganizację i **zmianę nazwy partii na komunistyczną** (wobec zdrady idei socjaldemokracji przez jej przywódców na całym świecie). Określa również jej zadania na okres „etapu przejściowego" — **moment rewolucji jeszcze nie nadszedł, sytuacja i masy jeszcze do niej nie dojrzały.**

Był to przysłowiowy kij w mrowisko. W Radzie Piotrogrodzkiej zawrzało jak w ulu. Czołowi przedstawiciele wszystkich partii, w tym również bolszewickiej, okrzyknęli Lenina szaleńcem, zdrajcą rewolucji, marzycielem, zaś jego programowi zarzucili sprzeniewierzenie się idei Marksa. Zostaje więc osamotniony w swej walce o drugą rewolucję, o przemiany społeczno-ekonomiczne, ale to go nie przeraża. Wie, że racja jest po jego stronie, a rozwój wydarzeń całkowicie to potwierdza. **Wie, że chłopi chcą ziemi, robotnicy — chleba, żołnierze — pokoju, zaś cały naród — wolności.** I wie, że Rząd Tymczasowy nie jest i nigdy nie będzie w stanie zaspokoić tych żądań. Ale partia bolszewicka przy obecnym układzie sił w obozie lewicy też ich nie spełni. A zatem — **trzeba najpierw zdobyć większość w Radach i dopiero rozpocząć drugi etap rewolucji.**

Tymczasem sytuacja w kraju się zaostrza, masy i żołnierze tkwią w inercji i buntują się. Panuje głód, nie widać dróg wyjścia z chaosu. Rewolucja znalazła się w ślepym zaułku. **Czerwiec — lipiec** to masowe demonstracje setek tysięcy robotników i żołnierzy. Wydaje się, że nadchodzi moment stosowny do przejęcia władzy. Lenin stanowczo odrzuca tę koncepcję — **to byłby błąd.** Jest politykiem, jego celem jest przekształcenie nie tylko Rosji, ale i świata. Toteż należy właściwie przygotować ludzi do czynu, **gdyby bowiem bolszewicy stanęli na czele buntu, a powstanie zostałoby przez Rząd Tymczasowy stłumione, rewolucja upadłaby definitywnie.**

Sierpniowa próba puczu, podjęta przez gen. Korniłowa, i dalszy bieg wypadków (brak szans na realną koalicję z mieńszewikami i eserami) spowodowała nagły zwrot w poglądach Lenina — **jedyna droga do celu to powstanie zbrojne i to niebawem.** Ale tym razem KC SDPRR okazuje się przeciwny tej decyzji, uważa ją aktualnie za zbędną — przemoc to przymus, mamy poparcie większości narodu, po co zdobywać władzę przemocą. **Lenin argumentuje: Jesteśmy silni, przeciwnik zaś słaby, należy więc atakować, aby przejąć władzę, jeśli teraz nie zaatakujemy, Rewolucja stanie w obliczu niewiadomej** (energia mas nie jest niewyczerpana; jeśli gniew ludu nie osiągnie celu i osłabnie, to szansa na zwycięstwo zostanie bezpowrotnie zaprzepaszczona). Matematyka na nic tu się nie zda: ta sama masa ludzi raz jest silniejsza, raz słabsza, raz znaczy więcej, raz mniej; większość bowiem to nie tylko sprawa liczebności, ale i siły. Rozwój wydarzeń jeszcze raz potwierdza słuszność argumentacji Lenina. W obozie wrogów i niezdecydowanego mieszczaństwa widać wyraźnie wahania. Bolszewicy uzyskują większość w Radach. Zaakceptowana zostaje wreszcie decyzja o rozpoczęciu przygotowań do zbrojnego powstania, zostaje też ustalony jego plan i termin.

Czas nagli. **Pokojowy okres rewolucji, kiedy walkę prowadzono z trybun, już minął, nadszedł etap rozstrzygnięć przy użyciu siły.**

6 listopada, w godzinach wieczornych oddziały Czerwonej Gwardii i marynarzy przystępują do akcji, następnego dnia sprawują już kontrolę prawie nad wszystkimi ważniejszymi punktami stolicy, a w nocy z 7 na 8 listopada zostaje zdobyty Pałac Zimowy. Rząd Tymczasowy przestaje istnieć. Rewolucja odnosi pełne zwycięstwo. Lenin staje na czele państwa. **W historii Rosji rozpoczyna się nowy rozdział — władza ludu.**

Foto: Archiwum

RYSZARD BINKOWSKI

A ONI ZOSTALI ROLNIKAMI

W mieście pieją koguty, kwiczą świnie, po ulicach paradują krowy i stoją dwa bloki, w których mieszka trochę inteligencji, trochę chłoporobotników, a reszta to rolnicy. Kiedy babka wyrzuca wraz ze śmieciami obierzyny i chleb i zwraca się jej uwagę, że mogłaby zostawić jakiemuś ziomkowi ze wsi, odburkuje, opryskliwie, że chamom nie będzie zostawiać.

Magister Aleksandra Łaszczewska, z wykształcenia rolnik, młoda i przystojna, lecz trochę zmęczona intensywną pracą I sekretarza KG PZPR w Szadku, oświadcza, iż miasto może się stać „metropolią" gminną z prawdziwego zdarzenia. Wprawdzie teraz ludzie pryskają do fabryk w Zduńskiej Woli i zabiera ich autobusami przemysłowa Łódź, jest sporo dwuzawodowych, na 1700 gospodarstw w gminie 90 muszą prowadzić kobiety, Szadek zaś daje 60 procent produkcji rolnej gminy, ale to się już zmienia. Filia „Siry" zatrudnia pół tysiąca osób, kilkuset ludzi pracuje w „Terpolu", ale gdy powstaną „Azbesty", fabryka produkująca płytki azbestowe do wyrobu pasków klinowych (wszystko dla motoryzacji) zatrudnienie znajdzie 1250 osób. Będzie trochę smrodu, ale w zamian powstanie sześć bloków mieszkalnych, ciepłownia dla miasta, przychodnia rejonowa, dom towarowy, oczyszczalnia ścieków, położy się na ulicach asfalt. I dlatego tow. Łaszczewska waha się, czy ulec kuszącym propozycjom przejścia do pracy w Sieradzu. Czuje się tutaj zmęczona, ale bardzo potrzebna, kobiety, których mężowie żłopią wódę i biją dzieci, nie idą po pomoc do naczelnika, tylko do kobiety.

Wraz z powstaniem „Azbestów", twierdzi Aleksandra Łaszczewska, nastąpi przyśpieszenie zdawania ziemi. Jest to proces nieodwracalny, częściowe uprzemysłowienie spowodowało, iż utworzona cztery lata temu SKR, która zaczynała od zera, ma dzisiaj 320 ha zdanych gruntów, i to w niezłych kawałkach, po 15 ha.

W gminie jest 26 gospodarstw specjalistycznych. Tow. Aleksandra wymienia te najlepsze, a wśród nich gospodarstwo nietypowe, prowadzone w bardzo prymitywnych warunkach. To mnie interesuje, sekretarz dzwoni więc do Janusza Linkego, który broni się słabo przed reporterską wizytą, w końcu ustępuje, ale pod wrunkiem, że bez fotografa.

I tak trafiłem na historię czterech synów, którzy stali się rolnikami, choć ich rodzice niewiele z rolnictwem mieli wspólnego, dziadek zaś w ostatnich godzinach żywota zaklinał, żeby się do tego nie brali, bo ich zeżrą świnie i krowy.

1.

Z braku miejsca, w pobliżu drewnianego kurnika dymi na podwórzu parnik, na bokach leży w foliowych workach nawóz mineralny. Dom jest stary, drewniany, długi budynek inwentarski pod dachówką też leciwy, nowa jest tylko otynkowana weranda. Za starą stodołą stoi blok mieszkalny z długą lśniącą rurą komina lokalnej kotłowni, co przypomina trochę maszynę do parowania ziemi w szklarniach. Podwórze błotniste, rozjeżdżone, do stodoły, skąd rozlega się na sto decybeli z hakiem kwik świński, trzeba iść po kładce. Pod stodołą stoi ciągnik z osiatkowaną wysoko przyczepą, SKR będzie zabierać warchlaki, które należy wyłapać, bo ganiają luzem po dużej przestrzeni.

Janusz Linke, młody chłopak, szczupły, średniego wzrostu, z gładko wygoloną drobną twarzą, poprawia daszek sportowej czapeczki i obciągnąwszy fałdy czerwonego swetra, wyjaśnia pośpiesznie:

— W piątek i sobotę poszło 198 sztuk, dziś sprzedaję 30 warchlaków. Przeciętna waga — 43 kg. Ganiam żukiem po jarmarkach i kupuję prosiaki o wadze 8—10 kg. Trzymam je przez 2,5 miesiąca i sprzedaję kooperantowi czyli SKR. W zeszłym roku sprzedałem 1300 sztuk, w tym roku będzie 1100.

W głowie się kręci od takich liczb. Ale jak w tych wszystkich pomieszczeniach, nawet w piwnicy i magazynku, było na raz 900 sztuk, to dopiero był kwik i robota! Że w stodole nie można? A dlaczego nie? Słomę się sprasuje, postawi w stogi i z głowy. Buduje się wewnątrz stodoły rusztowania i kładzie na zimę słomę dla ocieplenia, a z wierzchu obija się papą. Przy zadawaniu karmy prosięta wpędza się do zagrody, żeby nie przeszkadzały.

— Panie — mówi sąsiad, który przyszedł za interesem — on na tych warchlakach dobrze wychodzi, ale ja bym na to się nie pisał. To jest zapieprz, a on prawie sam. Codziennie trzeba wywalić przyczepę gnoju.

Do stodoły i do obory wjedzie przyczepą, ale z innych pomieszczeń trzeba wyrzucać gnój na podwórze, stamtąd na przyczepę, podwójne machanie widłami.

Wagowy się poci, komisja z SKR maca wzrokiem warchlaki, potem idzie wszystko zapisać do mieszkania. A potem wchodzę tam ja i jakby mnie w łeb zdzielił, takie zdumienie. Bo z wierzchu taka sobie chałupa, dokoła te starocie, błoto, prymityw, a w środku pod białym belkowanym sufitem wzorzyste dywany, kilimy, tapczany, centralne ogrzewanie, łazienka, biblioteka, barek z butelkami koniaku, którego nie wypada oszczędzić. I Janusz Linke też inny, w szarym garniturze, świeżej koszuli z Wólczanki, gładko zaczesane na bok jasne włosy, niebieske oczy się śmieją, lecz co chwila zastygają w namyśle i powadze. Pali dużo, nerwowo, rzuca słowa przez dym.

— Tak umeblowane mieszkania mają robotnicy, którzy u mnie pracują sezonowo.

Sąsiad mówił, że kiedyś było mnogo kobiet chętnych do roboty w Ruścu, ale teraz jak trzy stare babki znajdzie, to cud. A w Szadku to chodzi jeden z drugim wokół rynku z papierosem w zębach i do roboty się nie weźmie, chociaż u Linkego może zamieszkać w apartamencie, zeżreć lepiej niż w kategorii „S" i wziąć cztery patyki co miesiąc. Linke jednak już nie szuka ludzi w Ruścu, albo pod Aleksandrowem, bo w żniwa i wykopki przyjeżdżają praktykanci ze szkół rolniczych.

— A dlaczego wokół ten prymityw, niemal ruina?

— Bo to jest teren zagrożony, budownictwo mieszkaniowe ma polecieć. Nie wolno mi budować, wielkie sęki miałem z postawieniem drewnianego garażu. A Sanepid żyć nie daje. Świnie śmierdzą, fetor wali latem w okna bloku, mieszkańcy znają to od urodzenia, ale teraz są to mieszczuchy wrażliwe takie, że rany boskie. Sanepid już mi raz chciał hodowlę zatrzymać...

No, pewnie, ludzie nie powinni wąchać smrodu w mieszkaniach. Ale jak było: Linke postawił stodołę pod blokiem, czy blok postawiono za stodołą? Nie, to nie jest uzasadnienie. Linke powinien odtworzyć gospodarstwo. Ale gdzie? Była komasacja, Linke mówi, żeby mu przeznaczyli odpowiednią działkę, a tu inżynier, nie, on nie był z gminy, z urzędem gminnym Janusz żyje dobrze, więc ten inżynier zasuwa z takich chichem śmichem: „co się trujesz, forsę pan masz, to sobie kupisz". No, pewnie, tylko potem tak wyszło, iż za działkę na jego byłej, własnej ziemi trzeba było wybulić tak horrendalną sumę, że włos się na głowie jeży. I dlatego stoją stare budy, jak przyjdzie wywłaszczenie i odszkodowanie, to się ruszy. Ale choć to zagrożenie wisi nad błotnistym obejściem, Janusz rąk nie załamuje. Będzie stawiał betonowe płoty (wybieg za stodołą mu zabrali, teraz ganiają tam dzieci, niech które puści zapałkę, to wszystko się skopci), wybetonuje podwórze, otynkuje od tyłu chałupę.

Przyjechał fiatem Bogdan, młodszy o dwa lata brat, jeszcze szczuplejszy, twarz bielsza, delikatna, z wąsikiem. Bogdan jest podobny do dziadka, Janusz zaś do ojca. Bogdan szefuje na bazie POZH w Wilamowie, lecz duszą i ciałem tkwi w gospodarstwie. Zrzuca ten garniturek, krawacik, wskakuje w gumiaki i łapie się za widły. W czasie urlopów robią tak wszyscy czterej bracia. Bogdan krząta się, w mig zastawia stół. Miała matka czterech synów, oświadcza, nauczyła ich gotować i przepierkę zrobić, ojciec dawał dziabki w ręce i do ogródka pielić, żeby im się nie nudziło w wakacje.

No i siedzą dwaj bracia za stołem, schludni, w tych szykownych garniturkach, elokwencją błyskają nieprzeciętną, pociągają drobnym łykiem koniak z kryształowych pucharków i tym swoim wyglądem sugerują dobitnie, iż pojęcie „chłop", „chłopstwo", umiera, bo oni są właśnie tacy: młodzi nowocześni rolnicy, którzy w prymitywnych warunkach biją rekordy życiowe i dziadków, a i współczesnych gospodarzy, tych mniej odważnych, biją na łeb. No bo czy każda wieś daje rocznie państwu 1300 świniaków?

Ale początek nie był wcale tak radosny...

2.

Ojciec młynarz, matka sprzedawczyni w kiosku, czterech synów (może z wyjątkiem najstarszego, co na Śląsku młynarzuje) siedzi w rolnictwie. Bogdan z Jankiem ukończyli technika rolnicze, najmłodszy Przemek przerwał naukę, ale jak 17 października wróci z wojska, również technikum ukończy.

Dziadek prowadzał Janusza po jarmarkach, pokazywał, jak poznać, ile krowa ma lat, brał malca na ręce, żeby ten mógł zajrzeć koniowi w zęby. Wiele mu pomógł, wiele go nauczył, gospodarstwo mu dał, ale kiedy umierał w wieku 76 lat, orzekł, że mimo wszystko Janek nie powinien się brać do rolnictwa, bo on jest „szewc", a nie rolnik.

A Janusz z początku biedę klepał na państwowym stażu za 1000 miesięcznie. Zaczął gospodarować na 1 ha. Dzisiaj ma 13 ha własnych i 8 w dzierżawie.

— Kto ma świnie, ten się z biedy wywinie. Kombinowaliśmy z Bogdanem, spieraliśmy się, czy warto, w końcu, było to 6 lat temu, wziąłem 10 sztuk na tuczniki, potem zdublowałem tę ilość. Po dwóch latach przestawiłem się na warchlaki, zaczynając od 45 sztuk. I tak się to rozkręciło...

— On wpadł w jakiś trans — mówi Bogdan — nawet urlopu nie może sobie zorganizować. Złośliwi twierdzą, że prędzej dogada się ze świnmi, niż z rodziną...

Janusz piorunuje go wzrokiem.

— Nie gadałbyś bzdur! Lepiej powiedz, jakeś mnie naciągnął na owce...

— No tak, on miał mnie wtedy prawo opieprzyć. Było dwieście owiec odrzuconych z eksportu, których nikt nie chciał brać. Zagrypione. Rany boskie, myśmy je wzięli, ale ile trzeba było na nie chuchać, doglądać, podtykać. Owce gorsze przy karmieniu jak świnie, pchają się, zabić można, a taki uparciuch nie ustąpi. No, aleśmy je odchowali i poszły... na eksport do Francji. Tylko zysku nie było. Strzygaczowi zapłaciliśmy tyle, ile kosztuje maszynka elektryczna. Ale tych maszynek nie można było dostać.

— Jak chciałem kupić prosięta, to z kapeluszem w ręku do rodziny...

— Ale teraz masz rodzinę w kieszeni...

Z rodziną żyje się dobrze. Gorzej z tymi, którzy szydzili, gdy jeździł przez miasto na przyczepie z gnojem. Byli bogatsi, a gdy ich przeskoczył, zielenieją z zazdrości. Ale oni nie drżeli ze strachu, nie mieli miliona długu, nie pracują od 5 rano do 12 w nocy. Mieszczuch może znajdzie relaks w pracy na wsi, ale taki przedsiębiorca jak Linke żyje ciągle w napięciu, musi zorganizować robotę, uganiać się za ludźmi i potrzebnymi materiałami. Dobrze, że ma telefon. Nerwowy jest, bardzo dużo pali.

— Kiedy prosięta stanęły po 3 tysiące para, dwi noce przegłówkowałem, czy mi się to opłaci. Czy tylko zyskam na oborniku, czy na warchlakach. Bo jak słoma po 250 zł, to obornik też nie daje profitu. I czy mi starczy pasz treściwych, SKR w ramach kooperacji daje niewiele. Zaryzykowałem i nie płaczę, teraz z ziemniakami gorzej i mogę kupować prosięta po 1000 para...

U Janusza koryta są drewniane, paszę zadaje się dwa razy tradycyjnie, z wiadra, ale oprócz tego prosiaki mają do oporu żarcia z automatów. Pruży, wrzucając do wrzątku, śrutę jęczmienną, bo od kaszy brzuszek nie boli. Stosuje własną mieszankę na sucho: provit, otręby pszenne i żytnie. Ziemniaki suszy w pegeerowskiej suszarni. Sam selekcjonuje prosięta, dwa razy je szczepi i dlatego ubytki wynoszą u niego 2—4 procent.

— Pańskie oko konia tuczy — zauważa z humorem Bogdan. — Kto chce mieć zdrowe świnie, musi patykiem w gównie pogrzebać. Żeby sprawdzić, czy dobrze trawią...

— Mam 2 ha łąk, zbieram rzepak, jęczmień też dobrze mi wyszedł. Trochę paszy, zwłaszcza zielonej, zostanie. Zimą chlewy pustoszeją, mniej roboty, myślę więc, że warto wziąć na odchów ze sto jałówek...

— No, widzi pan! — śmieje się Bogdan. — Ludzie mówią, że w zimie chłop leży na piecu. Okazuje się, że ma wtedy najwięcej roboty, bo bierze się za hodowlę.

Janusz Linke ma 29 lat, młodsza o trzy lata żona Ewa też posiada wykształcenie rolnicze. Urodziła syna, Jarek mą 4 lata, będzie następca. Żona pracowała w gminnej służbie rolnej. Potem zachorowała, ponad dwa miesiące przeleżała w szpitalu. Teraz przebywa na leczeniu sanatoryjnym. Janusz jest zdany na własne siły, powinien się mechanizować, żeby było lżej. Ale najpierw musiał sfinansować hodowlę. Dopiero obecnie weźmie drugi, nowy ciągnik C 360, talerzówkę, dwie przyczepy, kultywator, brony.

— Lubię wykonywać robotę kompleksowo, i żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik. Sam muszę dać przykład, pokazać, jak się robi. Biorę na przykład kombajn z SKR i sam wsiadam, żeby sprawdzić, czy nie odrzuca do tyłu. A jeśli czasem coś nie wypali? Trudno, żeby się czegoś nauczyć i coś uzyskać, trzeba też coś stracić. Ważne, aby harmonogram prac grał, żeby wszystko było w terminie. Na Wszystkich Świętych u mnie zgodnie z tradycją wszystkie orki muszą być zakończone. Jak to wytrzymuję? Po prostu muszę, wiem, że muszę. Do 5 godzin snu na dobę też się można przyzwyczaić.

— Wie pan co? — stwierdza z powagą Bogdan. — Gdyby była dogodna działka, gdzie można wybudować obszerne, nowoczesne obejście, z wodą, z mechanicznymi urządzeniami, to ja bym się nie oglądał za państwową posadą. My byśmy w trójkę, a Przemek, proszę pana, najbardziej zapalczywy, założyli Zespół Rolników Indywidualnych. Wtedy byłoby ze dwa tysiące warchlaków, z dwieście jałówek, może nutrie...

Janusz Linke w 1975 roku otrzymał dwa dyplomy. Jeden za wybitne osiągnięcia w ogólnokrajowym konkursie o tytuł mistrza w produkcji zwierzęcej, drugi za wysoką produkcję roślinną w skali województwa.

Wiadomo, że na nadmiar mięsa nie narzekamy. Ażeby rozwinąć hodowlę, inwestujemy w budownictwo inwentarskie. To z kolei pociąga za sobą wzrost zapotrzebowania na materiały budowlane, z którymi są zawsze trudności. Janusz Linke dowiódł, że bez nakładów inwestycyjnych można produkować dużo mięsa. I może właśnie dlatego warto szczególnie pomóc mu w dalszych zamierzeniach. Rzecz jasna, że tysiąc świń nie może kwiczeć przed blokiem. Szkoda tylko, że te bloki będzie się stawiać na tłustej, gliniastej glebie trzeciej klasy. Ale planów urbanistycznych już się nie zmieni. Tak jak nie zmieni poglądów dziadek, który błagał na łożu śmierci: „Chłopcy, sprzedajcie tę ziemię, podzielcie się, będziecie mieć chociaż pamiątkę"!

A oni zostali rolnikami.

WSPOMNIENIA

NAUCZYCIELI DROGI DO POLSKI

Jako jeniec wojenny z kampanii wrześniowej 1939 roku znalazłem się w Niemczech w Stalagu VIC, a następnie XIB — Fallingbostel, skąd zostałem skierowany do Arbeitskommando nr 530 w Elze koło Hanoweru. W kwietniu 1945 roku III Rzesza Niemiecka znajdowała się już w agonii. Armie sprzymierzone biły wroga na ziemi niemieckiej i w zwycięskim marszu parły na Berlin. Sytuacja ta powodowała wyzwalanie polskich obozów jenieckich, więźniów obozów koncentracyjnych, skazańców licznych obozów śmierci i więzień, ludności cywilnej wywiezionej do robót przymusowych na roli i w fabrykach oraz ludności wywiezionej z Warszawy po upadku powstania w 1944 roku. W sumie w Niemczech znalazło się około 1 miliona Polaków. Okupant nie oszczędzał również dzieci i młodzieży. Znaleźli się oni na ziemi wroga w wyniku wysiedlenia tysięcy polskich rodzin z różnych regionów Polski. Była też młodzież samotna, której rodzice zginęli w obozach koncentracyjnych, zostali zamordowani w kraju lub w czasie działań wojennych w Niemczech oraz dzieci polskie urodzone w Niemczech. Grupa dzieci i młodzieży w wieku 3—18 lat życia liczyła ogółem ponad 100 tysięcy i stanowiła około 10 procent ogólnej liczby Polaków.

* * *

Wojska angielskie wyzwoliły naszą grupę we wsi Oegenbostel 10 kwietnia 1945 roku. Wolność jednak nie była jeszcze pełna, gdyż wojska angielskie parły dalej na wschód, pozostawiając nas bez ochrony wojskowej, a w okolicy znajdowały się jeszcze szczątki rozbitych oddziałów SS i Wehrmachtu, które rozprawiały się bezlitośnie z Polakami i Rosjanami. Trzeba się było szybko zorganizować i przenieść na tereny położone dalej od frontu. Decyzje zapadały szybko i jednomyślnie. Dzięki pomocy dowódcy oddziału pancernego zarekwirowaliśmy ciągnik z przyczepą oraz trochę żywności i już w dniu 11 kwietnia 1945 roku cała grupa w liczbie 20 osób wyruszyła do Neustadt, a następnie, po upływie tygodnia, w kierunku Nienburga. W miejscowości Munna Langedom organizował się polski obóz „Stanisław" w barakach pofabrycznych wytwórni zbrojeniowej, wydrążonej w skałach i usytuowanej w lesie. W obozie „Stanisław" przebywało około 100 dzieci i młodzieży. W tej sytuacji za najpilniejsze zadanie uznałem zorganizowanie szkoły powszechnej. Opracowany projekt został przyjęty przez komendanta obozu, por. St. Gaja i Radę Obozu z pełnym uznaniem.

21 kwietnia 1945 roku, kiedy jeszcze toczyła się wojna, nastąpiło uroczyste otwarcie szkoły i rozpoczęła się planowa praca. Szkoła mieściła się w fabrycznym budynku biurowym, tam też urządziliśmy sale lekcyjne. Pomoce naukowe do fizyki, matematyki, biologii i geografii przywieźliśmy ze szkoły niemieckiej w Nienburgu. Programy nauczania musieliśmy odtwarzać z pamięci. Podręczniki zaś były rzadkością, ale z pomocą przyszedł nam PCK — Delegatura z Londynu, który dostarczył częściowo przedruki podręczników przedwojennych. Książki natomiast otrzymaliśmy z Polskiej YMCA (wydane w Szwajcarii). Do pracy pedagogicznej wciągnąłem przebywających w obozie nauczycieli oraz inne osoby z wykształceniem średnim. Grono nauczycielskie poza mną stanowili: Mikołaj Dymicki, Wanda Szajner, Józef Wiekiera, Kazimierz Święcichowski, Leon Przymus i ks. Stanisław Siekiera.

Początkowo trzeba było przełamywać w młodzieży pewne opory wewnętrzne. Odzwyczajenie od szkoły, ciężka praca i walka o utrzymanie się przy życiu w okresie okupacji, wiele pokus środowiska obozowego po wyzwoleniu, jak również fałszywy wstyd z powodu braku wykształcenia zniechęcały młodzież do nauki. Współdziałanie z komendą obozu, propaganda i wzrastający autorytet szkoły w obozie, rozmowy indywidualne oraz pomoc Komitetu Rodzicielskiego, który wykazywał dużą aktywność, powoli przełamywały tę niechęć i wkrótce można już było rozpocząć normalne zajęcia szkolne.

3 maja 1945 roku szkoła zorganizowała uroczystą akademię dla mieszkańców obozu, na którą złożyły się: hymn państwowy, okolicznościowe przemówienie i występ zespołu artystycznego. W akademii uczestniczyli przedstawiciele armii angielskiej, radzieckiej, I Dywizji Pancernej, Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

Wiadomość o zakończeniu wojny i bezwarunkowej kapitulacji Niemiec wywołała ogromną radość i entuzjazm. Po kilku dniach wysiedleńców zaczęło jednak nurtować pytanie: co dalej? Wracać do kraju, pozostać na obczyźnie, czy jeszcze poczekać? Podjęcie jakiejś samodzielnej decyzji utrudniał fakt, iż obozy organizowali i kierowali nimi oficerowie łącznikowi, działający z ramienia „rządu" emigracyjnego, którzy w większości prowadzili akcje przeciwko powrotowi, a Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej nie uznawały mocarstwa zachodnie. W wyjątkowych warunkach szczególnie ważne zadania stanęły przed nauczycielami i szkołą polską, a mianowicie wdrożenie do pracy i nauki dzieci i młodzieży, dbałość o rozwój fizyczny i duchowy dzieci i młodzieży przez stworzenie korzystnych warunków materialnych i higieniczno-sanitarnych oraz ustrzeżenie ich przed ujemnymi wpływami określonej części środowiska obozowego i wreszcie działanie na rzecz repatriacji do Ojczyzny i chronienia wysiedleńców przed emigracją i poniewierką wśród obcych.

Nasza szkoła musiała jednak sama rozwiązywać problemy organizacyjne, dydaktyczno-wychowawcze i gospodarcze, na razie bowiem nie istniała instytucja administracji szkolnej. 15 czerwca 1945 roku, w ramach akcji tworzenia dużych skupisk polskich, obóz nasz został przeniesiony do Steinhude, gdzie utworzono polski obóz „Chrobry". W tej sytuacji zająłem się organizacją nowej szkoły, z tym, że miałem już doświadczony zespół nauczycielski z obozu „Stanisław". Przy pomocy komendanta obozu i UNRRA przejąłem na szkołę budynek niemieckiego gimnazjum wraz z bogatym zasobem popocy naukowych. 20 czerwca 1945 roku szkoła rozpoczęła normalną pracę przy zwiększonej znacznie liczbie uczniów. Tu wreszcie dotarła do nas wiadomość o utworzeniu 30 lipca 1945 roku Centrali Szkolnictwa Polskiego w Niemczech pod kierownictwem dra Tadeusza Pasierbińskiego. Szerszy wgląd w sprawy działalności centralnego organu administracji szkolnej i jego polityki oświatowej umożliwił nam Biuletyn Szkolnictwa Polskiego w Niemczech Nr 1 z 31 lipca 1945 roku, a 2 sierpnia tegoż roku wysłuchałem radiową odezwę kierownika Centrali do nauczycieli w Polsce, ogłoszoną przez radiostację w Luksemburgu.

Nowa administracja szkolna zorganizowała się szybko, działała sprężyście i operatywnie mimo dużych trudności, jakie sprawiał rozległy obszar działania (ok. 250 tys. km kw), podzielony na 3 strefy okupacyjne, liczne i rozrzucone skupiska Polaków, brak programów nauczania, podręczników i pomocy naukowych, brak środków lokomocji oraz uznania przez władze okupacyjne. Szkoła podlegała teraz bezpośrednio nadzorowi II Obwodu Szkolnego w Bad Rehburg (kier. Józef Blacha), a pośrednio II Okręgowi Szkolnemu w Hanowerze (kier. Leopold Pawłowski). Już w połowie sierpnia Józef Blacha przeprowadził inspekcję naszej szkoły, a jednocześnie przywiózł ze sobą programy nauczania i niektóre podręczniki, wydane przez Związek Polskiego Wychodźstwa Przymusowego w Hanowerze. Praca szkoły była teraz łatwiejsza. Jednocześnie zaczęliśmy organizować konferencje rejonowe dla nauczycieli, które stanowiły dużą pomoc w pracy zawodowej, szczególnie dla nauczycieli niekwalifikowanych. Dzięki pomocy UNRRA zorganizowaliśmy dożywianie wszystkich uczniów, a nauczyciele otrzymywali odzież, bieliznę i przydział papierosów. Nauczyciele — b. jeńcy otrzymywali żołd od władz angielskich w markach okupacyjnych (oficerowie — 400, żołnierze — 160), a ponadto władze niemieckie wypłacały wszystkim nauczycielom wynagrodzenie w wysokości 300 DM miesięcznie. Zaopatrzenie szkoły w podręczniki, książki i pomoce naukowe było coraz lepsze, dzięki akcji wydawniczej Centrali. Szkoła otrzymała również pierwsze druki szkolne, m. in. świadectwa, które dotąd wystawialiśmy w maszynopisie.

Zespół nauczycieli prowadził dla mieszkańców obozu kursy ogólnokształcące i zawodowe oraz Uniwersytet Powszechny, w ramach którego prowadzono cykle odczytów z zakresu historii Ziem Odzyskanych, odkryć i wynalazków, pedagogiki dla rodziców, nauk społeczno-ekonomicznych i politycznych. Frekwencja na odczytach była dość wysoka, a aktywność słuchaczy wzrastała, czego wyrazem były ożywione a nawet burzliwe dyskusje po odczytach. Współrodacy zaczęli rozumieć sens przemian społecznych, ekonomicznych i politycznych, dokonujących się w kraju i myśleć o powrocie do Polski. Szkoła prowadziła także pracę na rzecz repatriacji. W celu przyśpieszenia decyzji mieszkańców obozu powrotu do kraju szkoła zorganizowała dla młodzieży i dorosłych konkurs rysunkowy na temat: „Jak wyobrażam sobie powrót do Polski?" Wielka impreza, zorganizowana na zakończenie konkursu, połączona z wręczeniem nagród w dniu 20 listopada 1945 roku, była wyrazem niewzruszonej woli większości rodaków powrotu do kraju.

Dobrze zorganizowaną i prowadzoną planowo pracę szkoły przerwała decyzja władz okupacyjnych o przeniesieniu obozu do Wintzbar z dniem 5 grudnia 1945 roku. W tej sytuacji kierownik II Obwodu Szkolnego przeniósł mnie na stanowisko kierownika szkoły w Obozie „Wanda" — Nöpke, gdzie pracowałem bardzo krótko ze względu na kolejną likwidację obozu. Z obozu „Wanda" zostałem przeniesiony do pracy w szkole w polskim obozie „Canada" w Osterwald, gdzie nie było kierownika szkoły z powodu wyjazdu do kraju. (kol. Bronisława Barylska). Był to obóz mały, liczył zaledwie 200 mieszkańców, w tym 27 dzieci i młodzieży. Szkoła pracowała w nim od 5 września 1945 roku, a w jej otwarciu, którego dokonał z-ca kierownika Obwodu Szkolnego, Franciszek Szablewski, uczestniczyłem jako kierownik szkoły w Steinlmde. Szkoła prowadziła klasy I, III i V. Praca nie nastręczała większych trudności dzięki dużej pomocy komendanta obozu por. Józefa Jóźwiaka, II Obwodu Szkolnego w Bad-Rehburg i UNRRA-Team 85, (książki i przybory szkolne). Szkoła prowadziła również ożywioną pracę kulturalno-oświatową w środowisku obozowym.

W tym czasie akcja repatriacyjna nabierała coraz większego rozmachu. Centrala nawiązała bezpośredni kontakt z krajem, a kierownik dr T. Pasierbiński przebywał w Polsce w okresie od 19 grudnia 1945 roku do 9 stycznia 1946 roku. W wyniku uznania zasług Centrali dla oświaty polskiej w Niemczech jej kierownik został mianowany pełnomocnikiem Ministra Oświaty na Niemcy Zachodnie. Szczytowym punktem łączności z krajem był zjazd delegatów nauczycieli i przedstawicieli komitetów rodzicielskich w Hanowerze w dniach 3—4 marca 1946 r., w którym miałem zaszczyt uczestniczyć. W zjeździe wzięła udział delegacja przybyła z Polski pod przewodnictwem ówczesnego Ministra Oświaty Czesława Wycecha w składzie: Henryk Jabłoński, Stanisław Kwiatkowski, dr. Kaczanowski, Michał Pankiewicz, Franciszek Powuła oraz Jacek Marecki — redaktor „Repatrianta". Była również reprezentowana Polska Misja Wojskowa, dowództwo sztabu angielskiego oraz UNRRA. Prasę krajową reprezentował redaktor Edmund Osmańczyk.

Wygłoszone referaty stały się podstawą wielogodzinnej, ożywionej miejscami burzliwej dyskusji dotyczącej różnych dziedzin życia w kraju. Delegaci chcieli wiedzieć o nim jak najwięcej. Prawie przez 6 lat byli przecież poza granicami. Nie uczestniczyli w przemianach, jakie się w nim dokonywały. Chcieli je poznać, zrozumieć i przyjąć za swoje. O celowości zjazdu świadczyły uchwalone rezolucje, z których dwie były najważniejsze. Pierwsza stwierdzała, że nadszedł czas, aby nauczyciele, po wypełnieniu swych zadań na obczyźnie, powrócili do kraju. Druga wzywała wszystkich nauczycieli do organizowania w obozach polskich komitetów repatriacyjnych, których zadaniem miało być współdziałanie z misjami repatriacyjnymi przy organizowaniu powrotu wysiedleńców do kraju. O atmosferze zjazdu i postawie delegatów świadczyły słowa Czesława Wycecha wypowiedziane w czasie pożegnalnego przemówienia:

„To, co mnie najbardziej uderzyło na zjeździe, to Wasza tęsknota za krajem. I nie tylko tęsknota, lecz i Wasza niewzruszona wola powrotu do kraju".

Zjazd w Hanowerze stanowił ważne wydarzenie w życiu nauczycieli i wysiedleńców polskich w Niemczech. Był to pierwszy przyjazd przedstawiciela rządu polskiego do Niemiec Zachodnich, pierwsze zetknięcie się jego reprezentantów z wysiedleńcami. Nauczyciele zaakcentowali swój pozytywny stosunek do kraju.

Działalność w obozie „Canada" była skuteczna: w końcu kwietnia 1946 roku zdecydowana większość jego mieszkańców postanowiła powrócić wraz z dziećmi i młodzieżą do kraju. Wyjazd nastąpił 1 maja 1946 roku. W ten sposób, spełniwszy swój obywatelski obowiązek, zgodnie z apelem ministra Czesława Wycecha rzuconym na zjeździe w Hanowerze, powróciłem do Polski wraz z całą szkołą. W kraju podjąłem pracę nauczycielką w Szkole Podstawowej w Aleksandrowie Kujawskim w dniu 1 września 1946 roku.

Centrala Szkolnictwa Polskiego w Niemczech, po wykonaniu swego zadania, podjęła 7 lipca 1946 r. uchwałę o zakończeniu działalności z dniem 15 sierpnia 1946 roku. Po tym terminie Centralę przejął Wydział Konsularny Polskiej Misji Wojskowej. Bogata, pełna dramatycznych napięć, zmagań i walki, działalność Centrali Szkolnictwa Polskiego w Niemczech, szkół wszystkich typów łącznie z Polską Wyższą Szkołą Techniczną w Esslingen, placówek oświatowo-wychowawczych dała pożądane wyniki i przyniosła korzyści Polsce. Było to możliwe tylko dzięki bezinteresownej pracy 3,5 tysiąca nauczycieli, ich zaangażowaniu i patriotycznej postawie. W szczytowym okresie rozwoju szkolnictwa polskiego w Niemczech, tj. jesienią 1945 roku, prowadziło działalność 1.285 różnych placówek oświatowych, w których uczyło się około 80 tysięcy uczniów, w tym: 22 sierocińce i domy dziecka, 210 przedszkoli, 437 szkoły powszechne, 85 gimnazjów i liceów, 54 szkoły zawodowe i 477 różnych kursów ogólnych i zawodowych oraz Polska Wyższa Szkoła Techniczna w Esslingen. Ponadto, dzięki działalności Centrali na 17 uniwersytetach i 8 politechnikach niemieckich studiowało 1.517 młodych Polaków.

Centrala wydawała własny organ urzędowy pod nazwą „Biuletyn Szkolnictwa Polskiego w Niemczech" (ukazało się 8 numerów) oraz „Wiadomości Nauczycielskie", które stały się trybuną nauczycielską, odzwierciedlały życie szkoły polskiej w Niemczech, ukazywały obraz życia kraju i mobilizowały do powrotu. Centrala miała poważne osiągnięcia również w dziedzinie wydawniczej dzięki temu rozwiązano sprawę zaopatrzenia szkół w programy, podręczniki, książki i druki szkolne. Ponadto Centrala udzieliła pomocy krajowi wysyłając do Polski około 300 tysięcy egzemplarzy podręczników dla szkół powszechnych, średnich ogólnokształcących i zawodowych. Podobną akcją wydawniczą nie mogło się poszczycić żadne inne szkolnictwo wysiedleńcze. Z dala od kraju, na obczyźnie, polska szkoła umożliwiła tysiącom młodzieży odrobienie zaległości w nauce i przygotowała ją do podjęcia nauki w kraju bądź podjęcia pracy zawodowej, dorosłym zaś pomogła uzupełnić wykształcenie ogólne i zawodowe. Centrala dobrze przysłużyła się krajowi w tych trudnych latach.

Kiedy dzisiaj, po 33 latach, wracam myślą do tamtych czasów, przeglądając z pietyzmem unikalne już dziś dokumenty, ogarniają mnie głębokie wzruszenie i duma. Działalność szkolnictwa polskiego w Niemczech w latach 1945—1946 stanowi mało znaną szerszemu ogółowi społeczeństwa, w tym również i nauczycielom, chlubną kartę z dziejów polskiej oświaty i polskich nauczycieli.

HENRYK MUZIOŁ

NIE TYLKO HISTORIA

MARKSIZM I HISTORIA

Jeżeli ktoś interesuje się naprawdę współczesnymi, żywymi problemami metodologii historii, niech czym prędzej sięgnie po tę ambitną książkę. Nowy tom pióra Jerzego Topolskiego zatytułowany „Marksizm i historia" i wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy (1977), to publikacja z całą pewnością wiele znacząca, nie tylko w skali piśmiennictwa historycznego w naszym kraju. Niewielu jest bowiem uczonych, ogarniających dziś tak szerokie horyzonty problemowe, z taką odwagą wchodzących na pole toczących się dzisiaj zasadniczych dyskusji nad podstawowymi zagadnieniami historycznej ontologii i epistemologii. Niewielu jest takich historyków — marksistów, którzy w tak przekonujący sposób wiodą swoje polemiki i dyskusje z najróżniejszymi koncepcjami i ideami, rozwijającymi się na obszarze refleksji historycznej, inspirowanej przez inne, niemarksistowskie nurty filozoficzne. Niewielu jest wreszcie takich autorów, którzy potrafią pisać o tych sprawach w sposób klarowny, nie wikłając własnej myśli w sploty niezrozumiałej terminologii, potrafiących w jasny, wyrazisty sposób przedstawić swoje własne sądy o tych jakże skomplikowanych zagadnieniach.

Książka Jerzego Topolskiego jest usystematyzowanym, uporządkowanym i uzupełnionym zbiorem jego szkiców i studiów najczęściej już uprzednio drukowanych na łamach najrozmaitszych wydawnictw. Dokładną listę pierwodruków podaje zresztą autor na stronach 10 i 11 swego dzieła. Mimo to otrzymaliśmy rzecz nowa: złożona z narastających w ciągu wielu lat wątków, takich lub innych elementów całość ukazuje nam lepiej, aniżeli oddzielne części, ogólny bieg myśli autora, jego własny styl uprawiania metodologii historii. Nie kryję, że jestem ta książka zafascynowany, jak rzadko którą z moich metodologicznych lektur, których ostatnio miałem wcale sporo i to w paru językach. Doprawdy bardzo rzadko czyta się książki o tak ogromnym rozmachu i takiej intelektualnej świeżości.

„Główna myśla tej książki — powiada na wstępie do swego dzieła Jerzy Topolski — jest znane stwierdzenie Karola Marksa z Osiemnastego brumaire'a Ludwika Bonaparte (1852) o tym, że ludzie sami tworzą swoją historię, lecz nie tworzą jej w dowolnie wybranych przez siebie okolicznościach, tylko w takich, jakie zostały im przekazane". Uczony podkreśla, że ta właśnie myśl określa jednocześnie przedmiot zawartych w jego pracy rozważań. Zadaniem tej książki jest bowiem „interpretacja związków między działaniem ludzkim (jednostek, grup, klas społecznych), a procesem historycznym. W wymienionych słowach Marksa skupiają się jak w soczewce poglądy marksizmu na mechanizm tworzenia się dziejów, przede wszystkim zaś ujęta w nich została istota marksistowskiego historyzmu, a zarazem aktywistycznego poglądu na dzieje".

Nie od dzisiaj Jerzy Topolski toczy swój bój o właściwe rozumienie teorii materializmu historycznego, walkę, w której wśród współczesnych marksistów nie jest zresztą odosobniony. W odróżnieniu od zwolenników ekonomistycznej interpretacji dziejów, mieniących się niekiedy „marksistami" pomimo ewidentnego zawężania marksowskiego poglądu na mechanizm dziejów, w przeciwieństwie do ultranowoczesnych, epatujących arcyskomplikowaną terminologią zwolenników strukturalistycznej interpretacji marksizmu w rodzaju Louisa Althussera, Jerzy Topolski walczy o zrozumienie teorii twórców marksizmu w kategoriach historyzmu. „Marksizm nie jest historyzmem" orzeka kategorycznie L. Althusser — „marksizm jest historyzmem" powiada polski historyk, podobnie jak ci wszyscy myśliciele w naszym kraju, w innych krajach socjalistycznych oraz na Zachodzie, którzy przeprowadzają rozrachunek z przenoszeniem na obszar marksizmu wątków, wywodzących się z różnego rodzaju koncepcji naturalistycznych, prowadzących do rozumienia społeczeństwa na podobieństwo przyrodniczego organizmu. Upomina się — nie on jeden zresztą — o „aktywistyczną", jak powiada, interpretację teorii, o to, co filozof Janusz Kuczyński, odwołując się do innego rodzaju argumentacji, określa mianem „kreacjonizmu". Nie chodzi tu tylko o pojęcia: za nimi kryje się przecież przebogata treść historyczna i filozoficzna. Chodzi bowiem o rozumienie mechanizmu dziejów, owej ludzkiej historii dziejącej się nie inaczej, jak przez ludzi i za ich sprawą, choć nie zawsze przecież akurat tak, jakby oni sobie tego życzyli. Rzecz idzie o krytykę tych dawnych i współczesnych sposobów myślenia, które każą nam wierzyć, że nie my jesteśmy demiurgiem dziejów, ale że są one napędzane z zewnątrz — przez takie lub inne siły, bądź „czynniki" duchowe czy materialne, czy to będzie wola Prowidencji, czy też anonimowe, „żelazne" prawa nieuchronnego rozwoju, czy też wpisane w nas jako w jednostki biologiczne niezmienialne, nie podlegające działaniu czasu immanentne struktury, kompleksy czy instynkty, określające bieg historii. Chodzi na koniec o postawę człowieka w dobie budowania orzeżeń nowego, lepszego od dotychczasowych świata. Bowiem wnioski wypływające z refleksji Jerzego Topolskiego mają znaczenie jak najbardziej aktualne, skoro prowadzą nas do myślenia o tym, że nowy, lepszy świat nie nastąpi sam z siebie, na zasadzie nieuchronnego rezultatu działania „żelaznych" praw materialnej produkcji, że nic nie zwalnia nas od obowiązku, by samemu, każdy na swój sposób, podług możliwości i szans stwarzanych przez rzeczywistość, świat ten zbudować. Ta właśnie postawa, a nie bierne oczekiwanie na to, by dokonało się samo z siebie „socjalistyczne zbawienie", znajduje swoje uzasadnienie w tym stylu myślenia o historii, jaki proponuje nam Jerzy Topolski. Bowiem jest w błędzie ten, kto mniema, że historia jest nauka o człowieku w przeszłości. Nie: jest ona nauką o człowieku, rzecz jasna człowieku społecznym, bo innego w historii nie ma — odkrycia tego dokonał jeszcze Arystoteles — w czasie.

ANDRZEJ F. GRABSKI

JERZY BOŃCZAK

MEDYCYNA NA WOJNIE

W wojennej literaturze radzieckiej lat 1941—1945, obejmującej zwłaszcza pamiętniki wybitnych dowódców wojskowych, poważną pozycję zajmują zagadnienia medyczne. Czyny wojenne pracowników radzieckiej służby medycznej znalazły przecież szerokie odbicie nie tylko w pamiętnikach i dziełach wojskowo-historycznych, lecz także w wielu czasopismach oraz literaturze pięknej.

Pierwszym pamiętnikiem lekarza wojskowego, jaki ukazał się po wojnie, były wydane w roku 1948 „Zapiski chirurga wojskowego" A. Korowina, szefa służby zdrowia obrony półwyspu Hanko. Pamiętnik ten wzbudził znaczne zainteresowanie. Wspomnieć wszakże należy, iż podobne pozycje wydawane były już w czasie trwania wojny.

W roku 1967 ukazał się w Moskwie „Dziennik chirurga" pióra A. Wiszniewskiego, pisany w czasie trwania II wojny światowej przez tego wybitnego naukowca i profesora, generała Armii Radzieckiej. Dzieło to, stanowiące wybitną pozycję w światowej powojennej literaturze pamiętnikarskiej, przetłumaczone na język polski w roku 1971, zasługuje na najwyższą uwagę. Wynika z niego wiele niezmiernie ciekawych refleksji, uogólnień i wniosków, aktualnych do dziś. Obejmują one niemalże całokształt wojennej problematyki medycznej. Autor ukazał autentyzm kolejnych lat i etapów wojny nie tylko z racji zainteresowań lekarskich.

Bardzo wysoko należy ocenić książkę N. Antipienki pt. „Na głównym kierunku", wydaną u nas w roku 1970, dzieło, którego autorem jest Szef Tyłów 1 Frontu Białoruskiego. Książkę tę, obok „Dziennika chirurga", uważam za pozycję równie cenną, mogącą zainteresować zarówno lekarzy, przedstawicieli innych służb kwatermistrzowskich, jak i dowódców różnych szczebli. Autor z rzeczowa sympatią uwydatnił rangę medycyny w warunkach minionej wojny oraz przedstawił trudną i wysoce odpowiedzialną pracę lekarzy, pielęgniarek i personelu pomocniczego.

Liczne zagadnienia medyczne dotyczące II wojny światowej zawiera monografia A. Georgijewskiego i O. Gawriłowa pt. „Problemy społeczno-higieniczne i następstwa wojen", wydana w 1975 r. Jest to książka stanowiąca niejako rozwinięcie dzieła B. Urłanisa pt. „Wojna a zaludnienie Europy", które ukazało się w tłumaczeniu polskim w roku 1965. W obu pozycjach znajdujemy wiele cennego materiału z zakresu medycyny wojennej, demografii, higieny społecznej, epidemiologii, socjologii, organizacji ochrony zdrowia i innych dziedzin.

Inną ciekawą książką są „Zapiski lekarza frontowego", wydane w roku 1970, których autorem jest były komendant szpitala zakaźnego 33 armii, w skład której wchodziła 1 DP im. T. Kościuszki. Obok treści medycznych zawiera ona także opisy działań bojowych armii w walce z faszyzmem.

Wymienione pozycje książkowe nie wyczerpują oczywiście tak rozległego tematu, jakim jest historia radzieckiej medycyny wojennej. Chronią one jednak na pewno wiele wydarzeń i faktów, które godne są najlepszej pamięci.

1.

Już w pierwszych dniach po zdradzieckiej napaści hitlerowców, radziecka służba zdrowia rozpoczęła swoją wysoce humanitarną, bezgranicznie ofiarna działalność, ratując życie tysiącom rannych żołnierzy. Były to dni — a potem miesiące — wymagające ogromnego hartu, umiejętności, a nade wszystko bohaterstwa i patriotyzmu. Napływ rannych do punktów medycznych trwał nieprzerwanie. Już w pierwszych tygodniach wojny wystąpiły trudności z materiałami opatrunkowymi. Wysiłek lekarzy i pielęgniarek niejednokrotnie przekraczał ich możliwości fizyczne, wszyscy jednak trwali na posterunku. Wobec niepowodzeń w walce największym problemem stała się ewakuacja. Samochodem, wozem konnym lub piechotą dostawał się personel medyczny do przednich rubieży pola walki, niosąc pomoc potrzebującym. Hasło: „Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa" stało się linią przewodnią działania każdego pracownika służby medycznej, nie tylko w oddziałach bojowych, lecz także w głębi kraju. Wiele wysiłków włożyli lekarze w dzieło formowania nowych związków taktycznych i organizację zaplecza. Za bohaterskie czyny podczas wykonywania powinności sanitarnych przy forsowaniu Dniepru w roku 1944, sierż. san. M. Szczerbaczenko otrzymała tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Sanitariusz N. Maruchno za wyniesienie z pola walki 42 rannych otrzymał Order Czerwonej Gwiazdy i Medal za Odwagę. Przykłady takiego męstwa odnotowywano codziennie. W październiku 1943 roku instruktor sanitarny W. Gnorowska, ratując życie grupie ciężko rannych zginęła w walce z niemieckim czołgiem. Za ten niezwykły czyn została odznaczona tytułem Bohatera Związku Radzieckiego. Przykłady tego rodzaju można by mnożyć. Wojna dostarczała ich obficie. Za okazane męstwo podczas ochraniania rannych w styczniu 1944 roku tytuł Bohatera Związku Radzieckiego otrzymali felczerzy: F. Puszynowa i I. Kopytenkow. Gorące słowa należą się sanitariuszom noszowym, często bezimiennym, którzy ocalili niejedno życie. Sierż. gwardii Z. Tychołowa wyniosła z rejonu walk 123 rannych.

W pierwszych tygodniach wojny zdarzały się niejednokrotnie sytuacje dramatyczne. Oto zapis w „Dzienniku chirurga" z 8 sierpnia: „Byłem u dowódcy armii. Skarży się na bezsenność i bóle głowy. Przepisałem mu lekarstwo, potem pojechałem do 484 szpitala polowego — pełno tu rannych. Setki ludzi leżą wprost na ziemi dookoła domku, w którym urządzono salę operacyjną. Widok okropny. Są tu i umierający i umarli. Upał. Wszyscy proszą o wodę. Sanitariusz obchodzi rannych z wiadrem wody i poi ich puszką po konserwach". W innym miejscu ten sam autor pisze: „Pojechałem do batalionu medycznego. Sprawia on dobre wrażenie. Operowano przy mnie dwóch rannych w brzuch... prawidłowo ... Aseptyka jest ściśle przestrzegana... dowód, że w każdych warunkach można zorganizować prace chirurgiczne".

2.

W czasie wojny rozwinęła się bardzo szeroko praca naukowo-badawcza. W zasadzie każda armijna czy frontowa konferencja chirurgów, internistów, stomatologów, epidemiologów czy neurologów była swego rodzaju kolejnym krokiem na drodze uogólniania doświadczeń oraz opracowania bardziej efektywnych metod zabezpieczenia medycznego. Jest sprawą powszechnie znaną, iż w czasie wojny wydano wiele książek fachowych, które wnosiły dużo nowego do problematyki medycznej. Wymienione poczynania wywierały wysoce pozytywny wpływ na doskonalenie kadr, na unowocześnianie ich umiejętności specjalistycznych, na kształtowanie wyższych wskaźników opieki nad rannymi i chorymi. Należy wspomnieć, że w początkowym okresie wojny, kiedy Armia Czerwona znajdowała się w odwrocie, naczelnym zadaniem była szybka ewakuacja rannych. Była to taktyka obliczona na maksymalne przeniesienie niezdolnych do walki w głąb kraju i na otoczenie ich tam opieką. Niezależnie jednak od sytuacji wykorzystywano każdą możliwość, aby pierwszą pomoc lekarską okazywać rannym w pobliżu pola walki. Później, kiedy wojska radzieckie przejęły inicjatywę, a przeciwnik znalazł się w defensywie, wspomniana taktyka uległa zmianie. Sprawa ewakuacji w głąb kraju dotyczyła tylko tych rannych, którzy wymagali długotrwałego leczenia.

Duże sukcesy osiągano w dziedzinie przeciwepidemicznej osłony wojsk. Koordynacja pracy higieniczno-epidemiologicznej, wprowadzenie efektywnych szczepionek, stosowanie odpowiednich przedsięwzięć dezynfekcyjno-dezynsekcyjnych odegrały zasadniczą rolę profilaktyczną. Na przestrzeni całej wojny jednostki medyczne otrzymywały bez zakłóceń materiały opatrunkowe oraz leki. Ich jakość ulegała poprawie, a ilość wzrastała w miarę potrzeb. Prof. W. Kofman, główny chirurg armii, w ciągu dnia przeprowadzał w różnych szpitalach operacje, a nocą pisał materiały wykorzystywane potem w szkoleniu lekarzy.

Bardzo ważną funkcję spełniała praca partyjno-polityczna, prowadzona zarówno wśród rannych, jak i personelu służby medycznej, będąc istotnym warunkiem dobrej organizacji zakładów leczniczych i innych placówek. Na szeroką skalę prowadzono działalność oświatowo-sanitarną. Odgrywała ona wielką rolę w dziedzinie kształtowania umiejętności dotyczących udzielania pomocy i samopomocy koleżeńskiej, wpływając niejako na zwiększenie pomocniczego potencjału medycznego wojsk. W drugiej połowie 1941 roku wydawano 465 gazet wojskowych, a w roku 1944 — 821, o ogólnym jednorazowym nakładzie 3.191.000 egzemplarzy. Oddziały polityczne armii, oprócz treści informacyjno-propagandowych, popularyzowały szczególnie wyróżniających się pracowników służby zdrowia. Problemy służby medycznej, warunkujące przecież zdolność bojową walczących, były w centrum uwagi organów partyjno-politycznych wszystkich ogniw organizacyjnych Armii Czerwonej.

3.

Na wszystkich etapach bitew służba medyczna zapewniała szybką i niezawodną ewakuację, ranni otrzymywali natychmiastową pomoc lekarską. Szczególnie ciężkie zadania wykonywali lekarze — chirurdzy, pracując z poświęceniem do granic wytrzymałości. Marszałek I. Koniew pisze: „Wziąwszy pod uwagę, że lekarzami były przeważnie kobiety — nie mówiąc już o siostrach szpitalnych i sanitariuszkach — słowa mojej wdzięczności nabierają szczególnego znaczenia. Nie tylko na zapleczu, lecz i na froncie kobiety nasze wniosły do sprawy zwycięstwa ogromny wkład". W radzieckiej literaturze dotyczącej II wojny światowej nie ma pozycji, w której autorzy nie podkreślaliby zasług służby medycznej i gotowości do szlachetnych czynów.

W walkach o Stalingrad załoga jednego ze szpitali, pod nieprzerwanym ogniem nieprzyjaciela, zabezpieczała działania wojsk armii. Kiedy uległa zniszczeniu sala operacyjna, chirurg lekarz wojskowy 2 rangi, D. Kriwonos, udzielał rannym pomocy pod łodzią. Warunki opieki nad rannymi były niezwykle trudne, ranni zalegali piwnice zburzonych domów. Znaczne były straty w pododdziałach służby medycznej. Oto, co pisze marszałek W. Czujkow, nawiązując do tamtych dni: „Sanitariuszka Luba Nesterenko umiera, broczy krwią z rany w pierś: w dłoni trzyma bandaż. Jeszcze przed śmiercią chciała pomóc towarzyszowi, założyć opatrunek, ale nie zdążyła". W czasie 180 dni bitwy nad Wołgą uratowano życie tysiącom żołnierzy. Wysoko ocenił dowódca armii prace i zdolności kierownicze płk. M. Bojko, szefa służby zdrowia wspomnianego związku. Trudno uwierzyć, ale z literatury wiadomo, że w tym samym czasie hitlerowcy niejednokrotnie bombardowali i ostrzeliwali szpitale, punkty medyczne i środki ewakuacji medycznej. Wypadki takie notowano na wszystkich frontach. Rzecz zrozumiała, iż były to trudności istotne, które powodowały poważne straty personelu lekarskiego i sprzętu.

Lekarze i personel medyczny dobrze zapisali się w pamięci oddziałów partyzanckich. W literaturze znajdujemy wiele godnych podkreślenia przykładów. Dzięki wyjątkowej energii i ofiarności dr Majewskiej — szefa sanitarnego sławnego zgrupowania Kowpaka, spośród 500 rannych — 76 procent żołnierzy i dowódców wróciło do szeregów walczących. Partyzancka służba zdrowia na obszarze Ukrainy, tylko w kilku zgrupowaniach, okazała pomoc lekarską 223.140 rannym i chorym. Legendarny gen. Kowpak wysoko cenił trud i ciągłą gotowość bojową oraz skuteczność działania kompanii medycznej. Podobne sytuacje występowały we wszystkich zgrupowaniach zbrojnych toczących boje na tyłach wroga. Radzieckie jednostki medyczne w końcowej fazie wojny udzielały skutecznej pomocy ludności niemieckiej. Podobnie postępowano z rannymi jeńcami.

4.

Ogromną zasługą radzieckiej służby medycznej był fakt, iż na przestrzeni całego okresu wojny, w wojskach, mimo istniejących zagrożeń, nie stwierdzono żadnych objawów epidemii. Rannych i chorych leczono nie tylko w szpitalach i ośrodkach wojskowych, lecz także w szpitalach cywilnych i ośrodkach rehabilitacyjnych. Rannym żołnierzom towarzyszyła troskliwa opieka całego narodu radzieckiego. 5,5 mln radzieckich patriotów oddało 1 mln 700 tys. l krwi dla ratowania życia rannych. Szpitale polowe i bataliony medyczno-sanitarne zaopatrywano nieraz w brakujący sprzęt, żywność i dietetyczne produkty spożywcze. Rannych obdarowywano upominkami. Tysiące kobiet i dziewcząt radzieckich aktywnie uczestniczyło w pielęgnacji rannych. Dawało to znakomite rezultaty. W czasie Wojny Ojczyźnianej 72,3 proc. rannych i 90,6 proc. chorych wracało do szeregów walczących.

Wszechstronną pracę organizatorską i dowódczą prowadził Główny Zarząd Wojskowo-Medyczny Armii Radzieckiej pod kierownictwem gen. lejt. E. Smirnowa. W leczeniu rannych i chorych wykorzystywano wszystkie osiągnięcia medyczne nauk radzieckich. Wdrażaniem ich w system zabezpieczenia medycznego kierowali wybitni uczeni kraju, jak Główny Chirurg Armii Radzieckiej, gen. płk I. Budrenko, Komendant Wojskowej Akademii Medycznej, gen. płk L. Orbeli — wybitny fizjolog, Główny Chirurg Marynarki Wojennej, gen. lejt. J. Dżanelidze — wszyscy Bohaterowie Pracy Socjalistycznej. Ale wymienić też należy nazwiska takich sławnych specjalistów medycyny jak: W. Szramow, N. Jełanski, P. Kurpijanow, N. Wowsi, M, Achutin, W. Wojaczek i wielu innych. Na różnych szczeblach wojskowych pracowało 4 członków Akademii Nauk, 22 zasłużonych działaczy nauki, 275 profesorów, 588 docentów, 308 doktorów nauk medycznych i około 2000 kandydatów nauk medycznych. Ponad 130 profesorów i około 150 docentów zajmowało dowódcze stanowiska wojskowo-medyczne. Wszyscy oni wzorowo wykonywali swoje obowiązki lekarskie i żołnierskie. Takiego zaangażowania służby medycznej w niesieniu pomocy rannym żołnierzom nie zna historia wojen. Przedstawicieli służby medycznej dużą serdecznością darzyli frontowi żołnierze, którzy dobrze wiedzieli, iż w każdej sytuacji mogą liczyć na zorganizowaną pomoc sanitarną. O zwycięstwie Armii Radzieckiej, o jej sukcesach militarnych, zadecydowały ogromne walory ustroju socjalistycznego w dziedzinie ideowo-moralnej, ekonomicznej i politycznej. Związek Radziecki, dźwigając główny ciężar wojny z hitlerowskimi Niemcami, zdobył ogromny autorytet międzynarodowy. Twórcą tego autorytetu był cały naród, kierowany przez partię.

5.

Wojskowa radziecka służba zdrowia stanowiła potężną armię. Tylko w 1 Froncie Białoruskim, liczącym około 2 mln żołnierzy, jej personel przekraczał 100 tys. osób, zorganizowanych w 226 różnych oddziałach medycznych. Warto jeszcze raz przypomnieć, że wśród lekarzy i średniego personelu medycznego 65 procent stanowiły kobiety. Ich sumienna służba i męstwo zasłużyły na trwałe miejsce w historii. Partia i rząd wysoko oceniły działalność służby medycznej radzieckich Sił Zbrojnych. Ponad 120 tys. pracowników medycznych nagrodzono orderami Związku Radzieckiego w tym Orderem Lenina — 285 osób, Orderem Czerwonego Sztandaru — 3500 osób, Orderem Wojny Ojczyźnianej I i II stopnia — 15 tys. osób, Orderem Sławy — 15 tys. ludzi. 42 lekarzy, felczerów i sanitariuszy uhonorowano najwyższym odznaczeniem bojowym — tytułem Bohatera Związku Radzieckiego, w liczbie tej 22 osoby pośmiertnie. Wysokimi orderami wyróżniono liczne jednostki, szpitale i zakłady medyczne, wśród nich Wojskową Akademię Medyczną im. I. K. Kirowa.

6.

W maju 1943 roku rozpoczęła się formować 1 Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki. W kilka miesięcy potem walczyły już dwa polskie związki operacyjne. Określony wkład w zwycięstwo wniosła także, wsparta siłami oraz wyposażeniem sanitariatu radzieckiego, polska służba zdrowia spełniająca swoje obowiązki zarówno w regularnym wojsku jak i w oddziałach partyzanckich. W połowie 1944 roku zabezpieczała ona ponad 500 tysięcy żołnierzy konspiracji, których działania odgrywały dużą rolę ze względu na wyjątkowo ważne znaczenie strategiczne ziem polskich. Lekarze polscy nie tylko udzielali pomocy rannym partyzantom polskim i radzieckim, ale często kierowali oni również zbrojnym podziemiem. Nasza służba zdrowia zapisała niejedną piękną kartę w historii Polski walczącej, dając wiele dowodów szlachetnej ofiarności i głębokiego patriotyzmu. Poniosła ona poważne straty osobowe tak na obszarze kraju jak i na frontach. Na przełomie 1944/45 roku straty bojowe służby zdrowia tylko w I Armii WP wynosiły: 82 oficerów, 234 podoficerów, 612 szeregowców. Polscy lekarze wojskowi, ramię przy ramieniu z radzieckimi kolegami, przemierzali krwawy szlak od Lenino aż po ostatni bastion hitleryzmu. Żołnierska przyjaźń zawarta na polach bitewnych, wpleciona w zadania współczesne, stanowi rękojmię przyjacielskiej, wysoko wzajemnie cenionej współpracy. Przypomina ją i obrazuje stała ekspozycja w Muzeum Polskiej Wojskowej Służby Zdrowia w Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.

Nagromadzone w latach II wojny światowej doświadczenia bojowo-medyczne mają ogromne znaczenie w dziele dalszego podnoszenia potęgi obronnej i potencjału biomedycznego Sił Zbrojnych Państw Armii Układu Warszawskiego.

Generał brygady doc. dr hab. n. med. Jerzy Bończak.
Rektor Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. dyw. prof. dr med. Bolesława Szareckiego w Łodzi.

POEZJA RADZIECKA W PRZEKŁADACH ŁÓDZKICH TŁUMACZY

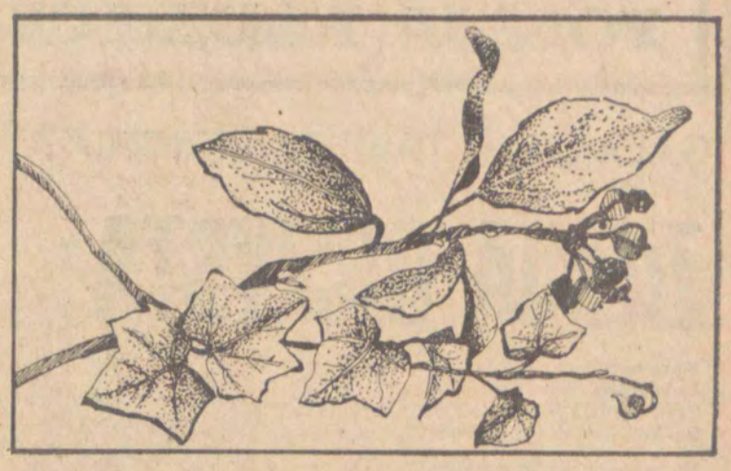

UŁADZIMIR DUBOŬKA (1900-1976) EDUARDAS MIEŽELAITIS (ur. 1919) WOLHA IPATAWA (ur. 1945)

PALCE ŻÓŁTYCH LIŚCI KLONOWYCH

Palce żółtych klonowych liści
Chcą jesień za szyję ucapić,
Lecz urodziwego jej przyjścia
Nic powstrzymać już nie potrafi.

Klonów do okien stały atak,
Czajkami zwołują się echa,
Księżyc zrywa orzechy z krzaka
I cały firmament w orzechach.

W granatowej wełnie je więzi,
Leszczyna się nań rozżaliła:
Nie zgasną marzenia w gałęziach,
Bo żadna nie zgasi ich siła.

Rozsypią się w dali i w górze,
Aby czerń jasności nie starła,
Choć przy smętnym żurawi wtórze
Chciwe obracają się żarna.

Od wiosny do wiosny w przestrzeni
Listowie wiatr strąca i strąca.
Ponad strzechy, dachy kamienic
Patrzę — kipiel nacierająca...

Daleko gdzieś skarży się sowa,
Nieboskłon się żalem przyodział...
Ludzie lubią dusze nicować,
Gdy tylko o cudze im chodzi...

1925

REMBRANDT

(Autoportret z Saskią)

Radość w spojrzeniu, radość w ręce,
Która Saskii objęła talię,
Radość w geście i w ręce drugiej,
Bowiem w niej czara się krysztali.

Radość jest w cieniach nie ziębiących,
W aksamitnej czapie z piórami
I w sztylecie, który jak gdyby
Ze wszystkimi skończył wrogami.

Gdy Saskia przy nim ukochana,
W czarze radość, obojga godna.
A więc znajdź — to przecież możliwe —
Radość i czarę wypij do dna!

Nie ma ruchu w życiu ponurym,
Skąd bez wiatru fala wysoka?!
Jak raduje pewność Rembrandta —
Kochać światło nawet i w mrokach!

MATKA

Przyszła niesłyszalnie. Przysiadła na łóżku.
„Otóż i ja.
Tak mnie wzywałaś,
Że mnie stamtąd wypuścili, choć nie na długo.
O co ci, córeczko, chodzi?"

„Mnie.... no wiesz..."
Jak nazwać ją mamą,
Język kołkiem staje,
Przecież ona taka młoda?!
„Syn mój... no wiesz... jak to bez ojca...
Dokazuje... Robi się nieposłuszny...
Ja... no wiesz..."

„Pytaj o co innego. Przecież, córeczko,
On prędko skończy siedem lat,
A ty nie miałaś nawet czterech,
Kiedy odeszłam od was..."

PIATRO HLEBKA (1905-1969)

ZIEMIA

Gdzie wzgórza, doliny na przemian,
Towarzyszu, nasza to ziemia!

Tu żyliśmy od maleńkości,
Więc jak jej nie darzyć miłością?

Tu pierwsze stawialiśmy kroki,
Poznając tej ziemi uroki.

Tu też, białą obmyci rosą,
Szliśmy razem na łąki z kosą.

Zbieraliśmy tu urodzaje,
Śpiewały nam rzeki i gaje...

I na ziemi tej urodziwej
Przeżyliśmy lata szczęśliwe.

Mamy czarnej hordzie pozwolić,
By u niej została w niewoli?!

Krwi dla ziemi tej utoczymy,
Czarną hordę w krwi utopimy!

Nie będzie wolnej niewolić —
Pagórków, dolin, łąk, roli...

Od najeźdźcy ją odbijemy
i dzieciom, wnukom przekażemy

Jak ojcowie, którzy ją przecie
Przez tyle chronili stuleci!

1942

OSIP MANDELSZTAM (1875-1938)

★ ☆ ★

Gdy smutek, nie ujęty w słowo,
Ogromnymi patrzy oczami —
Zbudziła się waza z kwiatami,
Wylała swoją kryształowość.

I cały pokój przepojony
Niemocą — słodkie to lekarstwo.
Iluż moje małe cesarstwo
Wymagało godzin prześnionych!

Więc trochę wina czerwonego,
Trochę majowej słoneczności —
I upajającej białości
Widok cienkich palców do tego...

WŁADIMIR BURICZ (ur. 1932)

★ ☆ ★

Naród
obmacuje siebie
rękoma rzeźbiarzy

Oszołomiony
majestatycznie wdrapuje się
na cokoły
swoich
miast

★ ☆ ★

Ludzkość
nie dający się zatopić
statek

trzy miliardy
kajut
z nadzieją

WIELEMIR CHLEBNIKOW (1885-1922)

★ ☆ ★

Wrzemienne komysze
Na brzegu jeziora,
Gdzie kamienie są czasem,
Gdzie czas jest kamieniem.
Na brzegu jeziora
Wrzemienność, komysze
Na jeziora brzegu
Świątobnie szumiące.

★ ☆ ★

Niestety, nadal nie umiem zdobyć się na wyłącznie praktyczne podejście do przekładu poetyckiego. Mam w teczkach wiele przykładów nie robionych na zamówienie, choć przekładami zajmuję się poniekąd zawodowo.

Rzadko też tłumaczę za pośrednictwem przekładu filologicznego — „rybki". Nie mam więc w dorobku, jak niektórzy tłumacze, wierszy z dwudziestu i więcej języków.

Coraz więcej przekłada się z literatur obcych — to konieczność, ale tłumaczy właściwie nie przybywa, jest to zajęcie trudne i żmudne, wymagające wysokich kwalifikacji, przeważnie nie dające moralnej (oprócz wewnętrznej) i materialnej satysfakcji. Jeśli nie brać pod uwagę pojedynczych prób (ostatecznie, każdy autentyczny poeta musi umieć coś przełożyć, choć współcześnie nie zawsze tak jest), to na przykład w Łodzi od dobrych kilku lat nie pojawił się nowy tłumacz. Problem! Wielki, wspólny problem dla łódzkiego oddziału ZLP, dla Wydawnictwa Łódzkiego i dla łódzkich pism, które zresztą w niektórych wypadkach powinny zacząć od znalezienia tłumaczy na lepszy i bogatszy język polski.

przekłady
JAN HUSZCZA

GALAKTION TABIDZE

ZIEMIA OJCZYSTA*

Nam nad dwojga mórz bezmiarem
Pole bitwy los wyznaczył,
Stąd do dziś te ziemie stare
Sa-kartwel-o **) zwą rodacy.

Na to imię tak chwalebne
Klnę się, Kraju mych praszczurów,
Że w dni grozy nie odbiegną
Gór Twych i szacownych murów.

Kocham Twoje krzesanice,
Kraj Amerii, kraj Imerii,
Pieśń „Hej, bracia, za szablice",
Dziarską pieśń „Mrawał żamierii"...

Dziś rozkuły z kajdan dłonie
Ludy Kartli i Kachetii,
Leczchum zmienił się widomie,
Pomłodniały stare Mcchety.

Jak barw tęcze na kobiercu,
Jak potoków gong na skale,
Tak się mieni styl Megrelców,
Tak mi dźwięczy Lazów dialekt.

Za Chizaant-gora-Kari
Szkarłat winnic aż po góry.
W ogniach zórz jak w baśniach starych
Błyszczą niwy Cicamury.

Kraju — grobie stu zaborców,
Muszę dowieść Tobie czynem,
Że Twej liry i proporców
Wiernym jestem paladynem.

Na Twe imię bohaterskie
Składam tę przysięgę świętą:
Kto podniesie na Cię rękę,
Będzie rękę miał odciętą...

Niech idee jak miecz jasne,
Które wielki Marks zapalił,
Serca w nas poszerzą ciasne,
Wolę niech wykują w stali —

By jak posąg uskrzydlony
Był nasz każdy czyn zwycięski,
By nie znały nasze strony,
Czym jest gorycz krzywd i klęski!

Zaklął słowa w znaków wstęgi
Parnawaz ***) — monarcha sławny.
Odtąd mówią do nas księgi
Alfabetem starodawnym.

Kocham dzieła mej ojczyzny,
Rytm i rym podobny dzwonom,
„Życia Gruzji" ****) archaizmy,
Szoty *****) pieśń nad czas wzniesioną.

Klnę się, Kraju gwiezdnych wzlotów,
Na Twe imię sercu miłe,
Strzec kultury Twej klejnotów,
Które księgom powierzyłeś.

Lecz nad brąz starego słowa —
Myśmy dziś zeń kurz otarli —
Pieśń się wzbija jasna, nowa,
Dumna pieśń Radzieckiej Kartli...

Na Twe imię pałające
Ślubowanie takie złożę:
Pieśń Twa we mnie ma obrońcę,
Więc jej nikt i nic nie zmoże.

Wiatry dawno stąd wywiały
Próchno niewolnego świata.
Za marksizmu ideały
Skrwawiliśmy młode lata.

Ziemio czynów sprawiedliwych
Poprzysięgam na Twe imię,
Że za blask Twych dni szczęśliwych
Spełnię święcie, com Ci winien —

I za ludy pobratane,
I za te, co znoszą brzemię,
Z dumą przyjmę w piersi ranę
I skroń wsnuję w czarną ziemię.

1941

*) Wiersz napisany w lipcu 1941 na wieść o napadzie Hitlera na Kraj Rad
**) Archaiczna nazwa Gruzji — dosłownie: Pole Bitwy
***)Kompendium najstarszych kronik gruzińskich (pierwsza z nich, przypisywana Leontiemu z Pieczar pochodzi z poł. XI w.; zamknięcia i opisywana Leontiemu z Pieczar pochodzi z poł. XI w.; zamknięcia i ostatecznej redakcji zbioru dokonał król Wachtang VI w pocz. XVIII w.)
****) Chodzi o gruzińską epopeję narodową „Wiciądz w skórze barsa"
*****) Szoty Rustawelego (XII, XIII w.).

★ ☆ ★

O żmudzie i specyfice pracy przekładowej, „przyjaciołach Moskalach", Białorusinach i Ukraińcach pisałem na tych i innych równie gościnnych łamach po wielekroć. Tudzież de omnibus rebus et quibusdam aliis, tyczących mych rusycystycznych zainteresowań. Powtarzanie się zaś jest rzeczą nudną nie tylko dla autora. Więc tym razem o rzadziej wspominanym urzeczeniu.

Przyszło na mnie w pierwszym, może najtrudniejszym psychicznie okresie okupacji — tym przedtajnooświatowym i przedkonspiracyjnym — i dopomogło bardzo w utrzymaniu siakiej takiej równowagi nerwowej. A przyszło za pośrednictwem „odkrytego" właśnie Lermontowa. Kaukaz i to, co na południe od Kazbeku. Kraina, która w oczach posępnego — tfu, przepadnij, szkarado nieczysta! — Demona odmalowała się, jakże słusznie, jako „szczastliwyj, pysznyj kraj ziemli". Tłumaczyłem po kolei sobie a muzom (były to etiudy i słusznie, że pozostały tajemnicą spalonego wraz z domem biurka) „Demona", „Czerkiesów", „Bastundżyjski aul", „Izmail-bej". Z utworów krótkich „Tamarę". Zafascynowała egzaltowanego młodego człowieka nie ta historyczna, zrównoważona, rządna i wielka monarchini — tej jeszcze nie znałem — lecz właśnie ta balladowa „priekrasna kak angieł niebiesnyj, kak diemon kowarna i zła". Rychło jednak już w poznawaniu tamtej pysznej krainy, romantyki jej krajobrazu, zabytków i historii zacząłem się obywać bez pośrednictwa autora „Demona". Najpierw urzekł mnie jeszcze w przekładzie na niemiecki „Wiciądz w tygrysiej skórze" Rustawelego. Pamiętam, że brak dostatecznego przygotowania filologicznego, ściślej znajomości konwencji, w tym zakresie apostrofiki i komplementarnej dedykacji dworskiej (i brak wiedzy o niebotyczności różnic hierarchicznych w średniowiecznych monarchiach orientalnych, nawet i chrześcijańskich, między pomazańcem pańskim a pierwszym choćby z jego poddanych) kazały mi jeszcze wtedy brać na serio rzekome erotyczne akcenty w zwyczajowej apostrofie hołdowniczej składacza wierszy wobec swej monarchini.

ALEKSANDER ABASZELI

KAMIENNY JELEŃ

Skrzą się srebra Narikały,
Księżyc natrząsł blasków wiele.
Wryty w park, z odłamu skały
Jakby żywy stoi jeleń.

Jakiż przybór w nocy stawach!
Pełno w nich miesięcznej bieli.
Na cokole — sen czy jawa? —
Jakby żywy płacze jeleń.

Owładnęłaś całym światem
Rtęcioblaska słodka siło!
W bestii — jawa? sen? — rogatej
Drgnęło serce i zabiło.

Czyż podobna, aby w głazach
Bił krwi wartkiej potok bystry?
By o nowiu po upłazach
Gnał zwierz-kamień w kraj ojczysty"

By w północnym znalazł borze
Krwi swej wartkiej uciszenie,
Gdzie łamały swe poroże
W ostrym boju prajelenie?

Czy go ślepy instynkt zmamił
I wyczuwa głaz-szalenic
Czarne ślepia Łagi-łani
Ziskrzające noc na krzemień?

Mgławią się granitu oczy.
Przygasł skarbiec gwiazd w niebiosach.
Spoczną tam płacznice nocy...
Bo tu cokół bieli rosa.

ALEKSANDER GOMIASZWILI

CZARNA SKAŁA

Zdaje się, spełza z urwisk lawina,
Mgła na załomach leży bez ruchu,
Czarny ptak w górze skrzydła rozpina
I dźwięczy cicho piosnka pastucha:

„Nad urwisko wzbił się gawron,
Dojrzy z góry ścierwo w szczerbie...
Zasmakuje gawron w ścierwie
I do lotu się nie zerwie..."

Słowa tej pieśni jakże mi bliskie!
W porze dzieciństwa, jak wieczność dawnej,
I ja nuciłem ją nad urwiskiem,
Pastuszek-mikrus w czapie zabawnej.

Odtąd minęło wiosen dwadzieścia,
Jak strof strużkami krwawi mi dusza...
I znowu pragnę, żeby w mych pieśniach
Zabrzmiała wolna nuta pastusza.

Stoi góralczyk na czarnej skale —
A to ja jestem, ja, bez wątpienia...
I w pieśni, którą wciąż nuci malec,
Słyszę dziecinne me udręczenia.

Chłopcu niestraszne skalne bastiony
I turkotanie pełznących lawin.
Przed nim rozbite gniazdo gawronie,
A obok gawron zraniony krwawi.

I tylko sterczy skała wstrząśnięta.
W ciemnych przesmykach mgła się porusza.
Z biegiem Aragwy w dół mkną, pamiętam —
Gromada owiec i pieśń pastusza.

Z pieśnią wezbraną śpiewem, w strzeżodze
Tkwię tam jak orzeł na czarnej skale...
A po Wojenno-Gruzińskiej Drodze —
Widzę — samochód pełznie ospale.

SANDRO MATISZWILI

BEZSENNA NOC

Dzień odchodząc zapuścił na twarz rąbek czadry.
Ostatnia struna pękła w dłoniach wieszcza światła.
Już korund zapadł w sen, pomorzył sen szmaragdy
Złote i srebrne nitki pogasły na brokatach...
Wieczór to eden marzeń. Kładę szacowne dzieło...
Przypilam duszy lotki, bo chcę spróbować lotu.
Noc odemknęła sajdak, cięciwę naciągnęła —
Promieniem szyje... Siedem na niebie trzepotów —
Płoną lichtarze nocy... Pojaśnienie lekkie —
Uśmiech nieba na wschodzie. Zorza to panienka
Nieświadoma, o twarzy, jak mówią, krew z mlekiem,
Która i pragnie czegoś, i czegoś się lęka.

★ ☆ ★

Oto wrzask zbudzonych pardew
Przerwał sen schylonych iw.
Ślepą kulą w mrok wygarnę
I na pewno wzejdzie świt.
Wiem, gdzie chaszcze i pokradła,
Wiem, gdzie chadza wilk na żer.
Widzę — w dali lśni Aragwa,
Biała jak dziewczęca pierś;
Patrzę z dala na Aragwę,
Wąską jak dziewczęcy stan...
Za górami miasto gwarne,
Przed górami domek mam.
Czekam ciebie jak zarania,
Daruj mi bezcenny skarb,
Daj pić bez opamiętania
Ze źródełka twoich warg!
Czekam ciebie jak zarania,
Jak się czeka deszczu w skwar.

Iwy pewnie też pojmują,
Pardwy pewnie też pojmują,
Góry pewnie też pojmują —
Co to czekać w noc na świt
I co oczy twe zwiastują,
A ja „wierzę" czytam w nich.

Tamtych pierwszych naiwności wyzbyłem się podczas pisania pracy seminaryjnej typu paralelnego u prof. Szmydtowej o „Wiciądzu" i „Orlandzie Szalonym" Ariosta, w której stanąłem po raz pierwszy przed zagadką dochodzenia w różnych czasach i w różnych zdawałoby się kręgach geograficznie-kulturowych do podobnych zjawisk ideowo-artystycznych. Czytałem wtedy dużo na temat dawnej Gruzji: Hancara „Geschichte Kaukasiens", Łatyszewa „Izwiestija driewnych pisatielej o Skitii", „Mozaikę kaukaską" Wacława Rogowicza i in. Było to jednak urzeczenie jednostronne — starą i bardzo starą Gruzją. Niebawem jednak (piszę „niebawem" choć, jak wiadomo, czas się wtedy dramatycznie dłużył) zjawiła się w moim życiu i Nowa.

Jej pierwszym przedstawicielem był starszyj leitenant, dowódca oddziału, który rozlokował się na leżach jesienią 1944 r. w rodzinnym Mińsku Mazowieckim, nie opodal domu, w którym mieszkaliśmy. Oficer był czarny jak Cygan, miał krzaczaste, demonicznie zrośnięte brwi. Pił naszą sławną w świecie monopolkę z nie mniejszym obrzydzeniem niż barczącki (palce lizać!) bimber i wciąż opowiadał o smaku win kachetyńskich. Nazwisko swoje Ilia Tabidze wymówił przedstawiając się z taką intonacją, jakby to uczynił w Polsce Słowacki (z tych Słowackich) czy (ale nie w tym czasie) Radziwiłł. Wnet mnie poinformował, że jest bliskim krewnym poety bardzo wielkiego, największego w jego kraju od czasów Ceretelego, Czawczawadze i Pszaweli. Potem przy winie jabłkowym roboty mojej matki deklamował wiersze tegoż poety — imieniem Gałaktion — z wielkim uczuciem, miękko i jakoś jedwabiście w języku, którego nie znałem i bardziej twardo i mniej dźwięcznie w języku, który znaliśmy obaj, — w tym on dobrze. Każdą z naszych biesiad (w duchowym i fizycznym tego słowa znaczeniu) podsumowywał: „kogda ty prijediesz ko mnie, ja cztoby tiebia ugostił: barana zarieżu. Niet! Dwoch baranow: Niet, triech".

Niebawem po wojnie znalazłem się w Łodzi i prowadziłem dział literatury radzieckiej i słowiańskich w radykalnym — trochę zwariowanie radykalnym — piśmie literackim o chodliwej naówczas nazwie „Wieś". Naczelny pisma, Jan Aleksander Król (onże major WP, chodzący z kirasjerską szablą), pojechał w ramach jednej z pierwszych oficjalnych delegacji literackich do ZSRR. Przywiózł mi stamtąd m. in. maleńką niebieską książeczkę wierszy Gałaktiona Tabidze w przekładach na rosyjski pt. „Izbrannoje" z odręczną dedykacją dla mnie i tajemniczym dopisaniem: „o którym słyszał dużo dobrego".

Ponieważ trudno przypuszczać, żeby — zwłaszcza wtedy w okresie moich pierwocin — mógł cośkolwiek słyszeć o mnie dobrego czy złego normalną drogą, domniemuję, że musiał zidentyfikować sobie moją, „królewskiego" redaktora od określonej literatury, osobę z kimś, o kim wspominał mu ktoś inny, a zatem kuzyn leitenant.

Niebawem ukazała się we „Wsi" ogromna kolumna na całą rozkładówkę z wierszami Tabidze, Czawczawadze i Abaszidze w moich przekładach, z obszernymi notami o autorach, pięknie złamana, z motywami zdobniczej grafiki gruzińskiej. Byłem naiwny i wyobrażałem sobie jeszcze długo potem, że ten pierwszy po wojnie przegląd poezji gruzińskiej (potem szereg razy jeszcze drukowałem gruzińskich poetów) będzie znany autorom kolejnych wyborów wierszy w Polsce poetów ojczyzny Rustawelego. Nie wiedziałem, że w naszym życiu literackim po wojnie aż do czasów inicjatyw edytorskich profesorów Białokozowicza i Nieuważnego ustali się praktyka wydawania tego typu publikacji bez kwerendy pism i przewodników bibliograficznych.

A tamte barany leitenanta Ilii Tabidze żyją sobie spokojnie po dziś. W odróżnieniu od szeregu moich zaradnych i bywałych na szerokim świecie kolegów mam usposobienie soplicowskie. Soplica, jak pamiętacie, bywał na kontraktach w Dubnie, wyjeżdżał do Piotrkowa i raz nawet do Warszawy.

Ale się jeszcze wybiorę. Jak „putnik opozdałyj" do kraju królowej „kak angieł priekrasnoj" i autorów wierszy niewypowiedzianej piękności.

przekłady

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

DANUTA BICZEL-ZAHNIETAWA

SZYMON

Do chaty zakradał się w nocy.
Przynosił do chaty
Zmęczenie
I bieliznę we krwi i w pocie.
Przyprowadzał chłopców —
Kolegów,
Z partyzanckich, leśnych szeregów,
Uzbrojonych po same zęby —
Trzech kolegów,
Jak dęby.

Zasłaniała szmatami okna,
Zapalała lampę naftową.
Czterech rozdziewała,
Czterech rozzuwała,
Czterem grzała do mycia wodę.
Uśmiechniętych, czystych, wesołych,
Częstowała ziemniakiem bez soli
I milczeniem.
Gdzie który stał,
Tam legł i spał.
A ona
Prała, łatała do świtania,
Odganiając lęk swój uparcie
Czuwała przy nich jak na warcie.
A o świcie, z odpływem nocy,
Tarmosiła ich:
— Wstawać, chłopcy!
I mówiła schylonym nad miską:
— O świtaniu strzelali gdzieś blisko.
Strzeżcie swoich głów, moje dzieci!

Kiedyś przyszli do niej gromadnie.
Cały oddział tłoczył się w sieni...
I stanęli przed nią bezradnie
Bez Szymona. Osamotnieni.
Tam, gdzie zwykle siedział przy stole —
Srebrną lufą błyszczy
Pistolet.
Zasmuceni na ławach siedli,
Stłoczeni, przy ramieniu ramię.
Zda się, że nie ziemniaki jedli —
Kamień.
Ona zastygła, skamieniała,
Rażona wieścią jak piorunem.
Głos łamiąc, głucho zapytała:
— Gdzie ten pagórek?...

NIEŚMIERTELNI

Wasilowi Bykowowi

Oto
Znów powracają
Myśli, marzenia i gniew przyjaciół,
Skoszonych kulami na śmierć.
Oto — przerwany ich śmiech,
Oto — ich nienawiść i ból.
I żarliwa miłość do życia.
Jak dziś — staje ona w oczach —
Młoda, w skrywających trawach,
Z natarczywym pytaniem na twarzach:
A czy ty masz prawo milczeć?
Mów!
Nie żywych cieszyć.
Zęby zaciąć,
Opowiedzieć,
Jak oni oczekiwali od życia
Nie zimnych płyt —
Cóż im pomniki wieczyste?
Wianki na wystygłych kościach
Nie ożywią mogilnych snów.
Im — dotykać kobiecych rąk,
Bławatki deptać o przedświcie
Przy rozedrganym, świeżym zbożu.
Aż pod powałę huśtać synów,
Za których polegli na wojnie.
Mówić!
Nie łzy strumieniami wylewać.
Pamięć poległych nie lubi łez.
Trzeba tak zaklinać, by potomków tej ziemi
Ominął podobny los.
Znów powraca do serc mężnych,
Którzy z szeregów odeszli w wieczność, —
Czy przyjęli oni obłudników?
Czy przebaczą brak miłości?
...Nie ogrzać świeżej mogiły.
Martwy bojownik nie ma serca.
Martwy bojownik nie wybaczy nam
Zdrady prawdy nawet po śmierci

Ty nie masz prawa milczeć.

HENADŹ BURAUKIN

BLUES WIECZORNEGO HARLEMU

Czerwona krew —
u czarnego.
Czerwona krew —
u białego.
Czerwona krew —
u żółtego.
U wszystkich — czerwona krew.
I u mnie — czerwona krew.

Jedno serce —
u czarnego.
Jedno serce —
u białego.
Jedno serce —
u żółtego.
U wszystkich — jedno serce.
Jedno serce —
u zuchwałego.
Jedno serce —
u nieśmiałego.
U policyjnego żłoba
Także jedno serce.

Jedno życie —
u białego.
Jedno życie —
u żółtego.
Jedno życie —
u czarnego.

U wszystkich nas — jedno życie.
U zbiegłego katorżnika,
U milionera-kutwy
I u mojej narzeczonej —
Tylko jedno życie.
Na Zachodzie
i na Wschodzie,
na Północy
i na Południu,
u wszystkich na świecie narodów —
Ziemia,
jak matka, —
jednaka.
Czemóż więc
nie wszyscy są wolni?
Więc czemóż
nie wszyscy równi?
Czyja w tym wina?...

MAKSIM TANK

ODPOWIEDŹ NA LIST

Jakim-że to zwięzłym listem
Odpisałaś mi. Czyżby to
Czasu brakło, by wypełnić
Małą kartkę z notatnika?
Nawet brakło słów, od których
Słodycz w sercu się rozchodzi,
Jaśniej czyni się na świecie:
Gdybyś chociaż o pogodzie
Napisała, jak zazwyczaj
Piszą ludzie, gdy o niczym
Nie potrafią już napisać.
Choćbyś jesień opisała:
Dwie przy chacie jarzębiny,
W polu dymy nad ogniskiem,
Czy żurawie w niebie sinym.

Niechby ten, co do drzwi pukał
Czekał, póki nie dopiszesz,
Niechby, raz przynajmniej, zupa,
Wykipiała ci na płytę,
Niechby kot, ściągnąwszy kłębek,
Splątał ci i zerwał nitkę...
Tyle miejsca pozostało!
No a mnie, gdy list ci piszę,
Zawsze kartek braknie. I tak
Nawet pod pocztowym znaczkiem
Pocałunek mój odczytasz.

MAKSIM TANK

★ ☆ ★

Ja tylko niewielką cząstkę
Wyśpiewać mogłem z tego,
Co opowiedziały mi
Wiatry,
Drogi,
Głazy i rzeki,
Lasy i gwiazdy;
Ja tylko niewielką cząstkę
Mogłem przekazać z tego,
Co mi mówiły oczy,
Usta,
Ręce
Ludzi, z którymi się spotykałem.

Dlatego pod moimi pieśniami
Stawiajcie na pierwszym miejscu
Ich podpisy.

★ ☆ ★

Drzewa umierają wtedy,
Kiedy już nie rozróżniają
Pór roku.
I nie odkrzykują echem;

Woda — gdy zapomina
Dokąd ma płynąć
I nie gasi ludzkiego pragnienia;

Ziemia — kiedy przestaje
Rodzić chleb
I być kołyską pieśni;

Człowiek — kiedy traci zdolność
Podziwiania i zachwycania się
Życiem.

TA ZIEMIA...

Ta ziemia — taka, zda się, niepozorna.
Kiedy będziecie jechać, przednie koła
Mogą zachłysnąć się błotem, a tylne — piachem.

Kiedy będziecie orać,
Pług może z niej wyłuskać głaz
Albo grot nie wyzwolonej miny.

Zechcecie się budować —
Topór się będzie szczerbić od kul,
Wszczepionych w każdą sosnę.

I nikt obcy nie zrozumie:
Dlaczego na pożegnanie
Każdy z nas bierze ze sobą
Garść tej ziemi.

★ ☆ ★

Napisałem dla ciebie pieśń,
Lecz ona, spotkawszy wiatr,
Stała się wiatrem,
Który wieje po świecie,
Usłyszawszy deszcz,
Ulewą spadła na ziemię,
A zobaczywszy drzewa,
Wzniosła się topolą,
Spokrewniwszy się z ziarnem,
Żytem się kołysze,
Napiwszy się słońca,
Błękitnieje niebem —
Dlatego,
By poznać tę pieśń,
Musisz ze mną przewędrować
Drogi Białorusi.

przekłady
MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

POEZJA RADZIECKA

MAKSIM TANK

PRZEDŚPIEW

Przyjdziemy jeszcze kiedyś pieśń ci złożyć,
Nie pod ciężarem torb żebraczych, —
Ze srebrnym smyczkiem i na strunach zorzy
Jeszcze zagramy ci inaczej.
Siądziem na przyzbach i na nowych progach
Z obliczem pogodnym, radosnym
I marsz wspomnimy po ścieżkach i drogach
I tych, co tu z nami nie doszli...
Ty skłonisz ku ziemi swoich strzech czuprynę
I pieśń się złączy z szumem boru,
Na siny nocleg zorze w dal popłyną
Ku sinym falom, ku jezioru.
Zarzucić niewód na dno, tam, gdzie drzemie
W środku Naroczy, w ciemnej toni
Księżyca burzą zatopiony lemiesz,
Który po nocach jak stal dzwoni.
Wtedy ujrzymy jak i pól aksamit
I pieśń, co płynie głosem czystym
I żywe struny zorzy odłamkami
Osypie nagle wiatr ognisty.
Mgły nagle znikną a na drodze pustej
Zorza utknąwszy w koleinach
Na sosny zarzuci swą czerwień-chustę,
Niby na plecy tej krainy.
Przyjdziemy jeszcze kiedyś pieśń ci złożyć,
Nie pod ciężarem torb żebraczych, —
Ze srebrnym smyczkiem i na strunach zorzy
Jeszcze zagramy ci inaczej.

1937

★ ☆ ★

I radość — nie radość lecz gorycz,
I pieśń — nie pieśń lecz skarga,
I chleb — nie pokarm lecz kamień,
I słód — nie jest słodem lecz łzami,
I słońce — nie słońcem lecz krą jest —

Jeśli nie masz na świecie nikogo
Z kim mógłbyś się wszystkim podzielić.

DYMI SIĘ – KURZY

Dymi się — kurzy
Chmura jak popiół.
Oj, tam — nie chmura,
Pył w mrok się wtopił.
Oj, nie pył chyba,
Lecz dym nad chatą,
W której Baj siedzi
Z kotem kudłatym.
Dwie lulki palą
I bajki bają.
A bajki — cuda,
Choć świat obejdziesz
Nigdzie podobnych
Bajek nie znajdziesz.
Kiedy ich słuchasz —
Ze śmiechu skaczesz,
Chociaż od dymu
Nieraz zapłaczesz.

WASIL BOBIŃSKI

ŚPIEW SKRZYDLATYCH KONI

My całe w śpiewie i w pogoni.
My całe w musującym winie.
My — młode, uskrzydlone konie —
Spod naszych kopyt ogień płynie.

Śpiewają pieśni nasze mięśnie
I serca rozskrzydlają pean.
Śle przykazania nam najświętsze
Życia pieniący się ocean.

Cóż dla nas znaczy śmiech szyderczy?
Cóż znaczy żmija jadowita?
Już na epoki dumnej piersi
Nasze stalowe grzmią kopyta.

Jak gdyby widma ślepej nocy
Za nami znikły w dali uzdy
I kolanami nam trzepocą
W ciałach rumaków — ludzkie mózgi.

Długo nam z woli panów przyszło
Uginać grzbiety pod siodłami.
Pańskim posłuszniśmy zamysłom
Pokornie szli, by orać dla nich.

Lecz wybuchł w nas pewnego razu
Gniew przebudzony świętym głosem
I nie spełniliśmy rozkazu
Płacąc za każdy cios — swym ciosem.

Znad ciał satrapów, nad stepami
Zabrzmiała pieśń na nieboskłonie,
Bezpańska pieśń i zawołanie:
„Dość panowania — panom koniec!"

Posłuszni świętym twórczym znakom
Siły odwiecznej i dowiecznej
Myśmy wydarli lotnym ptakom
Ich skrzydeł przecudowny sekret.

My wykochaliśmy w swych ciałach
Oval szlachetnych czół i twarzy.
I białe ręce, palce białe,
Wyrosły z macierzyńskich marzeń.

Jak gdyby widma ślepej nocy
Za nami znikły w dali uzdy.
I kolanami nam trzepocą
W ciałach rumaków — ludzkie mózgi.

I któż zakuje nas w kajdany?
Kto zdoła nam wyznaczyć ścieżki?
Kto przerwie lot nasz nieustanny?
Żałosnych ludzi sprzeciw śmieszny?

Nigdy i nikt! My wolne konie!
My wolny lud, my wolne ptaki!
My całe w pieśni i w pogoni!
Bez uzd, bez pęt i bez kulbaki.

Dumne, skrzydlate my centaury —
Najwyższy Duch — wspaniałych Stworzeń —
Przyozdobione w wieńce z lauru
Szlak odmierzamy: prosto w zorze!

GEWORG EMIN

ZMIERZCH

Miotające ogień, ogniem pulsujące,
Pławi się w płomieniach wyczerpane słońce.

Od zorzy do zorzy, w otoce promieni,
Nie potrafi losu świetlistego zmienić.

A że pragnie chłodu, z podniebnej otchłani
Prosto w morze spada jak ogromny kamień.

A ocean kipi i staje się siwy.
Para w mgłę się zmienia, okrywa fal grzywy,

I płyną błękitnych obłoków turabany,
Łączące strop nieba z rozbryzgami piany.

Dzień już odszedł, noc się zbliża wolnym krokiem...
Zmierzch — granica między jasnością i mrokiem.

SILWA KAPUTIKIAN

JESIEŃ

Na dworze chłód i sytość jakże miłą
Październik w rdzawych ukryć chce kolorach.
Już się sprawdziło to, co serce śniło.
Żegnaj! Rozłąki już nadeszła pora.

Więc odejdź! Idź tam, gdzie ci odejść każę!
Ciężka swoboda niewierności.
Ja ci pomogę! Dosyć złudnych marzeń!
Do wprawy doszłam już nie byle jakiej,
Potrafię odprowadzić cię najprościej —
Tak samo jak październik odprowadza ptaki.
Wyprawię cię jak nikt, sam się przekonasz:
Wszystkie wybuchy ust i skarby z głębin
Tajemnic bezimiennych ci oddaję.
Wędrowcze mój! Twa torba wypełniona —
W niej wszystkie niedorzeczne twe przysięgi
Dziecinne i przelotne jak deszcz w maju.

Już wspomnień dość. Już roztrwoniony sierpień.
Dusza i las w mgłach października tonie.
Nie zwlekaj! Idź i nie myśl, że ja cierpię.
Niech cię prowadzi blask na nieboskłonie!
A łzy? Czasem nie wiemy skąd się biorą.
Zniknie zmęczenie, co w mych oczach mieszka.
W odprowadzaniu wprawy mam już sporo
I dobrze jest ukryta moich losów ścieżka.

UŁADZIMIR ŻYŁKA

MIECZ

Jam go tu znalazł orząc ojców ziemię,
Wąziutki zagon na porębie.
Radosnym się objawił dźwiękiem,
Gdy ostrzem trafił na mój lśniący lemiesz.
Nabożnie starłem rdzę — przeszłości brzemię —
Sen dobywając z wieków wnęki
I groźny napis z klingi cienkiej, —
„Do końca walcz!" — przemówił przypomnieniem.
I uleciały precz wahania, wątpliwości,
Bo w wiernym sercu nigdy strach nie gości.
Ojczystych progów strzeżcie, matki, siostry!
Ja z braćmi idę przeciw sile wrażej,
By szczęście dla nas zdobyć mieczem ostrym.
Nie zdołam sam — to innym miecz przekażę.

★ ☆ ★

Twórczość przekładową rozpocząłem wkrótce po wojnie i rozwijałem ją równolegle z twórczością oryginalną. Moją pierwszą, większą pracą było tłumaczenie książki Sergiusza Michałkowa „Dla dużych i dla małych". Książka ukazała się w 1952 roku w ogromnym na owe czasy nakładzie, liczącym sto tysięcy egzemplarzy. W tym samym roku ukazał się mój przekład bajki P. Jerszowa „Konik Garbusek". Ta piękna książka, z ilustracjami J. M. Szancera, zdobyła wielką popularność wśród najmłodszych czytelników, o czym świadczy siedem jej wydań o łącznym nakładzie przekraczającym ćwierć miliona egzemplarzy. Nawiasem mówiąc, kilka lat temu, jako tłumacza „Konika Garbuska" spotkał mnie zaszczyt uczestniczenia w odsłonięciu pomnika Piotra Jerszowa w Tobolsku.

W roku ubiegłym, w towarzystwie redaktora Jerzego Gosa, odbyłem interesującą podróż do Gruzji. Celem naszej „wyprawy" było pozyskanie filologicznych przekładów wierszy, które wejdą w skład antologii poświęconej współczesnej poezji gruzińskiej. Nad antologią tą, która ukaże się w Wydawnictwie Łódzkim w mojej redakcji, pracuję wraz z zespołem znakomitych tłumaczy, od dwóch lat.

Trzeba przyznać, że w Gruzji rozwija się bardzo owocnie twórcza pomoc w dziedzinie przekładu. Oto konkretny przykład: przy Uniwersytecie w Tbilisi istnieje Główne Kolegium Redakcyjne do spraw przekładu literackiego pod przewodnictwem Otara Nodii.

Jakże inaczej wyglądały te sprawy, kiedy dwadzieścia lat temu rozpoczynałem pracę nad przekładem gruzińskiego eposu narodowego „Witeź w tygrysiej skórze", pióra Szoty Rustawelego. Wtedy okazywali mi pomoc tylko poeci. Zresztą do dzisiejszego dnia z wieloma twórcami łączą mnie więzy gorącej przyjaźni. Dzieła, stworzone przez tak wielkich mistrzów pióra, jak Gałaktion i Tycjan Tabidze, Paolo Jaszwili, Georgij Leonidze, Simon Czikowani, Irakli Abaszidze staram się przybliżyć polskiemu czytelnikowi, tym bardziej, że mają one niemały wpływ na literaturę narodów radzieckich.

Ta antologia, w której występuję nie tylko jako redaktor, ale i jeden z tłumaczy, stanowi plon moich długoletnich kontaktów z Gruzją i jej kulturą. Wystarczy powiedzieć, że ojczyznę Rustawelego odwiedziłem już czternaście razy. Moje gorące uczucie do Gruzji nie jest wyłącznie i tylko związane z jej poezją i literaturą. Podziwiam naród gruziński, jego zwyczaje, pasjonuje mnie bogata i burzliwa historia Gruzji, jej sztuka, muzyka i teatr. To spowodowało, że zainteresowałem się operą „Abesałom i Eteri". Opera ta, z librettem w moim tłumaczeniu, została wystawiona na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi.

Moje prace przekładowe obejmują również literaturę narodów: armeńskiego, białoruskiego, estońskiego, litewskiego, łotewskiego, ukraińskiego i rzecz jasna, współczesną poezję rosyjską.

Nie zarzuciłem jednak pracy nad własnymi utworami, czego dowodem jest wydany niedawno wybór moich wierszy. W najbliższym czasie w Wydawnictwie Łódzkim ukaże się obszerny wybór moich przekładów. Nietrudno domyślić się, że w wyborze tym będą przeważały przekłady z poezji gruzińskiej.

No i wreszcie na zakończenie chciałbym przypomnieć, że moja trzydziestoletnia działalność przekładowa uwieńczona została nieoczekiwanym sukcesem: w roku ubiegłym Związek Pisarzy Radzieckich przyznał mi, jako pierwszemu Polakowi, nagrodę literacką im. Gorkiego za całokształt twórczości przekładowej.

przekłady
IGOR SIKIRYCKI

WANDA KARCZEWSKA

GAWĘDA O ŻOŁNIERZU RADZIECKIM

Rozjaśnił się park listkami młodemi,
kwietniowa fala zatopiła łozy.
Leży Wania w kaliskiej ziemi
i żołnierz Aliosza u pnia jasnej brzozy.
Już niemi.

Marmur im dali na czoła, ma
marmurowy z gwiazdą pośrodku cokół,
na marmurze — laweta.
Prosna szumi dokoła,
polskie wierzby wokół
i pieśń polska.
Ładna, ale nie ta.
Czyżbyś ty sam nie wolał
w jakimś zawołżańskim kołchozie
poganiać woły siwe?
I w oczy — szerokie brać pola,
jadąc pośród koniczyn na wozie,
i pieśni śpiewać wesołe, szczęśliwe?
Czyś z radością na wojnę szedł?
Nuże, Wania, mów prawdę, nie kłam!

Któż z radością na wojnę idzie?
Ale jak poszedł, to by już zaszedł do piekła.

Jak ptak leciał ognisty,
step się pod nimi palił.
Ach, bracia mili,
toć płonął jego dom ojczysty,
a jemu — karabin dali.

Aż tu doleciał Wania.
I tu go, śmierć, markietanka żołnierska,
złowiła w sidła.
Przystanął w locie,
głowę na ramieniu skłania,
a ręce — jak ustrzelone skrzydła.

Sczerniały mu w oczach jarzębiny,
zapachniał zgnieciony szalej,
rudy blask objął koniczynę białą.
Oj, Wania miły, nie pójdziesz ty dalej,
zszedłeś już świata niemało.

I — pod marmurem tu leży.
A wolałby zwykły rozchodnik albo barwinek.
I żyć by wolał niż nie żyć.
W Gruzji ojczystej lub Ukrainie.

Wiesz ty, mój Wania, co ja ci powiem?
Kiedyś wszystkie granice
jak mosty na rzece wezbranej spłyną,
o to się biłeś, przeto
śmierć twoja, bracie, nie strata.
Wtedy wszyscy żołnierze, ziemi synowie,
spać będą w grobach jednej ojczyzny —
świata.

1954.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

WIERSZE ŻOŁNIERSKIE

Swoją żołnierską twórczość Lucjan Szenwald całkowicie podporządkował powinnościom obywatela i Polaka. Nie wszystkie jego utwory z lat wielkiej wojny ocalały. Zaginął bowiem poemat o Owidiuszu i dramat poetycki Jarosław Dąbrowski. Te, które przetrwały, nie zawsze mają kształt uznany przez ich twórcę za ostateczny.

Zawierucha wojenna spowodowała, że w 1940 r. znalazł się poeta w Związku Radzieckim. W 1942 r. Szenwald wraz z przyjaciółmi znalazł się na Syberii, gdzie pracował jako robotnik, tęsknił za krajem i z nadzieją wsłuchiwał się w wieści o tworzeniu nad Oką „Narodowego Polskiego Wojska". Wstąpił do I Dywizji. Przemierzył szlak bojowy I Armii.

W 1944 r. opublikował w Moskwie nakładem Związku Patriotów Polskich tom poezji, którego tytuł: **Z ziemi gościnnej do Polski** — trawestacja słów Hymnu Narodowego — jest doskonale adekwatny do jego tematyki. W skład zbioru weszły najlepsze wiersze poety z lat 1941, 1943. Książkę skomponował w ten sposób, że kolejność zamieszczonych w niej utworów jest zgodna (Szenwald-żołnierz swoje utwory datował) z chronologią ich powstawania. Pozwala nam to prześledzić rozwój jego wojennej poezji oraz wyodrębnić problemy, które na poszczególnych etapach żołnierskiej działalności twórcę pasjonowały. Otwierające zbiór wiersze czerwonoarmisty mówią o powszednim dniu wojennej służby. Tematyka patriotyczna i obywatelska pojawia się w utworach „syberyjskich" (kwiecień — maj 1943 r.). Te bowiem wiersze służyły propagowaniu idei tworzenia współdziałającej z Czerwoną Armią Dywizji Polskiej. Najciekawszymi w zbiorku są jednak utwory kawalera Krzyża Walecznych za Lenino, będące spontaniczną reakcją na bohaterstwo tych, którzy „na śmierć idą po kolei", lub rejestracją przeżyć żołnierzy biorących udział w patetycznych wydarzeniach współczesności.

Poeta-kościuszkowiec ukonkretnił adresata swoich wierszy. Były nim do tej pory masy żołnierskie, którym czuł się w obowiązku tłumaczyć ważkość idei tworzenia na terenie Kraju Rad polskiej jednostki wojskowej, czy wyjaśniać założenia ideologiczno-polityczne ustroju socjalistycznego. Pamiętając o zdolnościach percepcyjnych swego adresata, poeta zmuszony był sprawy trudne i skomplikowane upraszczać, uogólniać, problemy zaś wyjaskrawiać. Teraz, gdy odbiorcami jego utworów stali się najbliżsi mu towarzysze broni, kronikarz Pierwszej Dywizji obok tej „oficjalnej" pisał również i jej „kronikę liryczną". Przed swymi przyjaciółmi roztaczał wielką panoramę wojny, uświadamiał im fakt, że to właśnie oni tworzą nową historię. Bohaterami lirycznymi wierszy kościuszkowca są nie tylko głośni dowódcy, ale i owe „bezimienne" dziś Zośki Okręt, których nazwisk próżno będziemy szukać w wielkich kompendiach wojny.

Wzruszającym motywem wiążącym wiersze żołnierza jest tęsknota za krajem i wiara, że każdy dzień zmagań z wrogiem przybliża chwilę powrotu do ojczyzny:

Józef Nadzieja pisze z Azji Środkowej:

Do ziemi dalekiej, która tak blisko,
Bo ona biedną ojczyzną moją,
Przyjdę (...)

Pożegnanie Syberii:

My odjeżdżamy walczyć o swobodę
Kraju mniejszego niż ty (...)

Do Polaków za granicą:

Więc kędykolwiek szlakiem wojny szliście
(...) wszystkie drogi wiodły do Warszawy.

Ballada o pierwszym batalionie.

W Trigubowej pod jabłoniami zostali
Ostatni zabici żołnierze.
Zostali ochraniać tu strzechy i progi
Metr tej, co do kraju prowadzi nas drogi.

Elegia na śmierć Mieczysława Kalinowskiego:

Padł i wróciło serce jego do Warszawy.

Umarłej:

(...) Jeżeli fatum pozwoli
Do nadwiślańskiej wrócić Itaki,

Tragiczna niepewność zawarta na kartach cytowanego powyżej, a ostatniego w tomie wiersza, wzmaga dramatyczną wymowę całego zbioru.

Wiersze żołnierza łączy również obsesyjna wizja zniszczonego przez okupanta kraju oraz wyidealizowane, bowiem „oglądane przez marzeń witraże" obrazy Odrodzonej Polski realizującej nowy program polityczny i społeczny.

Swe patriotyczne apele wyposażał w odwołania do polskiej poezji patriotycznej oraz do dziewiętnastowiecznych pieśni powstańczych.

Najgłośniejszym wierszem poety-żołnierza jest **Pożegnanie Syberii.** Jako motyw literacki, Syberia wielokrotnie pojawiała się na kartach naszego piśmiennnictwa. „Kraj przeklęty" uczynili romantycy symbolem narodowego dramatu. Intencją Szenwalda było udowodnienie, że Syberia nieprzyjazną już nie istnieje. Pisał:

Gdzie ongi ciszę śniegowego stepu
Rozcinał poświst pędzącej kibitki,
I z traktów, letnią czesanych zawieją,
Kłębami pyli jękliwy dźwięk kajdan,
Tam dzisiaj fabryki wrą, dudnią huty.

Współczesny kraj jest, w ujęciu poety, właśnie dla Polaków szczególnie gościnny i łaskawy:

Mnie tu gościna była: dach nad głową,
Czerstwy kęs chleba, szorstki uścisk dłoni,
Koleżeństwo w robocie (...)

Opisał jego urodę i bogactwo, narcyzy, cedry uroczyska pełne dzikiej zwierzyny, „rybne rzeki", „grzybne lasy". Obok urody pięknych szczegółów odtworzył i piękno „przyrody patetycznej" — doskonałego tła dla rozgrywających się tutaj wielkich wydarzeń:

Tu po śnieżystej pustce dudnią krocząc
Słupy zorzy polarnej. Bicie serca
Przytłum: usłyszysz jak północny biegun
Skrzypiąc obraca się na swojej osi.

Uczynił Syberię ojczyzną dzielnych, umiejących żyć pełnią życia ludzi. Nakreślone przez artystę portrety syberyjczyków dalekie są od grożącego zawsze bohaterom pozytywnym schematyzmu:

Widziałem starca: stuletnim ramieniem
Podźwigał cedry, był to dobry cieśla,
I pracował za trzech, klął za czterech,
Pił za dziewięciu, bajał za dziesięciu
I prawnukom dłoń do strzelby sposobił.

Do motywu sprzyjającej Polakom Syberii będzie poeta-żołnierz powracał. Budując legendę Pierwszej Dywizji, będzie wskazywał, że właśnie wyniesione z pobytu na niej doświadczenia nauczyły kościuszkowców postawy godnej żołnierza.

Syberia dla Polaków łaskawa funkcjonuje w wojennych wierszach Szenwalda jako symbol polsko-radzieckiej przyjaźni oraz jako symbol całkowitego zerwania Kraju Rad z polityką carskiej Rosji. Pisał Szenwald:

My odjeżdżamy walczyć o swobodę
Kraju mniejszego niż ty.
Wnieslemy panikę samym W obóz wroga imieniem
„Syberia". W serca znękanego ludu
Wsączymy żar otuchy samą nazwą
„Polska" — i dotąd tak sobie przeciwne,
Wyłączające się wzajem, szczerzące
Ku sobie zęby, dwa nieprzejednane
Słowa złączą się w jeden akord siły.
Akord radości, woli i zwycięstwa:
„Polska, Syberia, Syberia i Polska".

Braterstwo broni, tożsamość celu łączącego żołnierzy obu krajów podkreślił poeta przez użycie wspólnego dla leksykonu polskiego i rosyjskiego i równoznacznego w nim słowa: swoboda. To słowo będzie i w kolejnych wierszach żołnierza funkcjonowało jako symbol tej samej idei przyświecającej dwóm bijącym się obok siebie armiom.

Utwór jest białym jedenastozgłoskowcem. Rezygnacja z rymów świadczy tu o doskonałym smaku artysty. Wiersz ma bowiem bardzo bogatą ornamentykę. Urodę i bogactwo kraju opisał Szenwald za pomocą wyliczania szczegółów, drobiazgów niemal organizujących jego pejzaż. Szczegółowe opisanie urody i zasobności Syberii z jednej strony podkreślić miało ważkość pełnionych przez nią funkcji w organiźmie Kraju Rad, z drugiej zaś strony tego rodzaju zabieg ściśle wiązał się ze zdolnościami imitatorskimi poety. Swój „obraz Syberii" wystylizował tu bowiem tak, aby był on zgodny z estetyką rosyjskiej, lubującej się w urodzie nakładających się na siebie szczegółów, sztuki ludowej.

Odtwarzając psychikę syberyjskiego ludu, spoglądał na świat jego oczami. Stąd więc na przykład w utworze personifikacja Związku Radzieckiego, wystylizowanego (motyw bylinny) na przeżywającego swe zahamowania i „odradzającego się" siłacza:

(...) olbrzym wojny, gdy poczuje odpływ
Gęstych w ramieniu muskularnych soków,
I słony smak zmęczenia na języku,
I senność, której niepodobna przemóc —
Natenczas olbrzym na wschód się ogląda,
Ku źródłu wiecznych sił i nakarmiony,
Szeroką piersią skośnookiej Azji,
Nogi obmywszy w błękitnym Irtyszu,
Znów zrywa się do boju i wspaniałym
Przerzutem karku strąca napastnika
I ciska nim o kamienistą glebę.

Na żołnierską twórczość Szenwalda ogromny wpływ wywarł sprawdzian przygotowania bojowego kościuszkowców, ich heroiczna batalia o Lenino (12—13 X 1943). Pod Lenino bowiem po raz pierwszy Dywizja walczyła u boku Armii Czerwonej. Polacy swym męstwem i ofiarnością wykazali, że są godnymi jej sprzymierzeńcami. Uczestnik bitwy — Szenwald, jako autor **Ballady o pierwszym batalionie** jest twórcą legendy Lenino. Głośny jego wiersz już w swoim założeniu miał być liryczną kroniką bitwy. Narrację prowadził tu twórca z pozycji biorącego udział w batalii żołnierza. Z pieczołowitością dokumentarzysty rejestrował kolejność bojowego działania. Otwiera więc **Balladę** „topografia terenu walki":

Dolina i mrok między nami i nimi,
Wstające we mgle linie wzgórzy.
Zwęglonej gorzelni kościotrup olbrzymi,
Jak szkielet okrętu po burzy,
I milczą transzeje, i czasem z oddali,
Jak duch — koczująca armata wypali.

Po niej kolej na żołnierskie rozpoznanie, rozkaz dowódcy i wypełnienie rozkazu. Odnajdujemy to w następnej sestynie: rozpoznanie terenu i żołnierska próba dodania sobie animuszu:

Na wzgórzu są Niemcy!
Na pewno w tej chwili
Przez szkła wymacują noc mgławą,
A może chorągwie zwinąwszy stchórzyli
Przed tą, co poprzedza nas, sławą?

Rozkaz:

Wybadać, co kryją tumanne rozstaje!

Wypełnienie rozkazu:

I pierwszy batalion z okopów powstaje.

Teraz przedstawia Szenwald swych bohaterów podkreślając, że o ich godnej żołnierza postawie zadecydowały doświadczenia z pobytu na Syberii:

To byli ci sami, co żaru odpryski
Na dłoń brali w hutach Uralu

I od tego momentu wypowiedź poety ma już charakter mitotwórczy. W jego interpretacji bowiem, pierwszy batalion ma świadomość tego, że wypełniając rozkaz i ruszając do ataku idzie na pewną śmierć, idzie bowiem:

Własnymi ciałami wykazać znikomość
Tej ciszy, co przyszła po burzy.

U Szenwalda, zgodnie z prawdą historyczną, kościuszkowców wykrwawia już pierwsze natarcie:

Bluznęły wyloty strzelnicze,
Szarpnęły skłębienia wybuchów i trzasły
Przez mózg cekaemy jak bicze,
I dym tyraliery ze wszystkich stron obwiał,
Nitkami krwi szyły ten dym igły z ognia.

Pierwszy atak i pierwsze jego odparcie były w ujęciu poety i stratega próbą sił obu walczących stron. Teraz jego żołnierze oceniają swoje straty i przygotowując się do dalszej walki:

I wszystko minęło, i cisza aż dziwi,
Chlupocze Mireja po bagnie.
Śpią martwi. W okop, wcisnęli się żywi
I bagnet przyświeca przez bagnet.

Przygotowanie do dalszej walki jest jednocześnie przygotowaniem do śmierci:

Tam w kul świegotaniu wypływa nad chorał
Jak gdyby w jaskółkach twarz księdza — majora.

Na tym przykładzie prześledzić możemy proces poetyckiego kojarzenia Szenwalda. Kapelanem Pierwszej Dywizji był ksiądz Franciszek Kubsz. Udzielającego ostatniego sakramentu kapłana wystylizował poeta na jego potrona z Asyżu, najpogodniejszego ze świętych. Ten zabieg posłużył twórcy jednocześnie do zasugerowania pogodnego nastroju u kościuszkowców w ich „chwili mistycznej".

Przygotowany do śmierci batalion „podnosi się znowu". W bitwie nie ma już przerw. W momencie największego natężenia walki jego dowódca, major Lachowicz, powtarza, „gest Kozietulskiego":

Wstał major Lachowicz na krok przed szeregiem
Pistolet mu w ręku zabłysnął.
„Na szturm, bracia!" (...)
I powiódł ich przez transzeje niemieckie,
Płomiennym przewodził im ciałem,
I wiódł ich na druty, na gniazda strzeleckie,
Na twierdzę, na śmierć (...)

Ginie:

Ja myślałem,
Że serce wybuchło mu pełne Ojczyzną
A to w piersi granat się gorzki rozbrysnął.

Ginie również jego zastępca. Żołnierze stoją w obliczu klęski:

Paziński trafiony w śmiertelnej krwi pada.
Poległych już liczyć przestała gromada.

Następuje przesilenie walki. Berling przygotowuje pomoc dla wykrwawionego pierwszego pułku: Batalion po raz trzeci idzie na śmierć:

Generał pozornie spokojny lecz łowi
Bez tchu każdy trzask w telefonie.
„Odwody na oścież pierwszemu pułkowi!
Pchnąć czołgi do walki!"
— i słonie
Pancerne wyłażą z krętego parowu.
I pierwszy batalion podnosi się znowu.

Wypełnia powierzone sobie zadanie. I na tym kończy się jego bohaterski udział w bitwie, która nigdy nie miała się rozstrzygnąć:

I kruszy, i łamie, i depcze i wali,
Dopada, szturmuje i bierze!

Odtworzony przez poetę przebieg bitwy jest zgodny z jej autentycznymi, historycznie udokumentowanymi losami. Liryczna kronika Lenino w autentyzmie przedstawianych faktów nie bojąca się porównań z dokumentem, sugeruje jednocześnie prawdziwość odtwarzanych w niej stanów psychicznych i nastrojów żołnierstwa, a bohaterstwu kościuszkowców idących z całą tego świadomością na pewną śmierć, nadał Szenwald rangę niewymierną. Wpisał tym samym swój utwór w ten ciąg poezji mówiącej o bohaterstwie polskiego żołnierza, który zapoczątkowało **Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę** Mosena.

Żołnierska twórczość poety miała być, jak sam to określił, „desantem mocy" dla rozproszonych po świecie żołnierzy-tułaczy. Miała ocalać od zapomnienia wielkie wojenne dramaty i wielkie zwycięstwa. Bardziej niż kiedykolwiek „przydeptywał teraz poeta gardło własnej pieśni" Bard rewolucji socjalnej wielką wagę przykładał do środków formalnych organizujących poetycką wypowiedź. Buntował się przeciw sztampie w ujmowaniu najbardziej, jego zdaniem, palących problemów współczesności. Poszukiwał godnej ich wyrażania formy, eksperymentował. Adresatem wierszy rewolucjonisty był „abstrakcyjny" robotnik, którego założeń estetycznych nie znał, bowiem kontakt miał z nim tylko okazjonalny (wieczory autorskie, prelekcje). Zostawiał sobie wtedy poeta furtkę: klasa robotnicza nie rozumiejąca utworu dziś — zrozumie go jutro. Wiersze żołnierza służyły potrzebom chwili. Musiały być właściwie odczytane i przeżyte natychmiast. Z ich adresatem miał poeta kontakt codzienny. Wiedział, jak należy pisać, aby skierowując swe patriotyczne apele do przyjaciół z Dywizji, zyskać sobie wśród nich życzliwych i żarliwych czytelników. Więc nie piękny obraz poetycki, czy oryginalna metafora, ale natężenie środków retorycznych gwarantujących patetyczny ton wypowiedzi wysuwa się w tej poezji rejestrującej etapy wielkiej żołnierskiej odysei na plan pierwszy.

Wojna nie miała trwać wiecznie. Te, służące potrzebom chwili wiersze miały być marginaliami w jego twórczości. Marzył, że w wolnej, odrodzonej Polsce (wiersz pt. **Umarłej**) będzie znów przede wszystkim artystą.

Buenos Aires: Centrum.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KORONA W BUENOS AIRES

(KORESPONDENCJA Z ARGENTYNY)

Z Santosu popłynęliśmy do Porto Alegre, pięknego brazylijskiego miasta w stanie Rio Grande do Sul. Przez pięć dni wyładowywaliśmy tam mocznik przy głównym nadbrzeżu, frachtowy towar z Holandii. Mocznik ma to do siebie, że nie lubi wilgoci i jak pada, to trzeba zamknąć ładownie, a tu oprócz deszczu była jeszcze kilka dni przed nami wielka powódź. Woda wystąpiła z brzegów zatoki, zalała miasta, wsie, drogi, sparaliżowała komunikację, podmyła domy. Z pokładu widać było jak jej mętne, żółte nurty unoszą ze sobą do morza kępy traw, sągi drzewa, jakieś deski, okiennice, rozłupane gospodarskie przedmioty, nieraz także trupy baranów i koni.

Podczas postoju mieliśmy dużo czasu na zwiedzanie miasta, a wieczorami chodziliśmy do Klubu Polskiego, który znajduje się w Porto Alegre przy Avenida Sao Pedro 778. Spotkaliśmy tam wielu wspaniałych i gościnnych rodaków, których jednak opiszę nieco później, albowiem napór materiału i zagmatwane koleje mojego powrotu domagają się pewnych przetasowań.

Krótko mówiąc: byliśmy w Porto Alegre pięć dni i spotkaliśmy tam wielu wspaniałych Polaków, a potem wzięliśmy kurs na Buenos Aires i pewna osiemdziesięcioparoletnia pasażerka powiedziała, że czuje w powietrzu wolność.

Kiedy wyraziłem zdziwienie, wskazała palcem radio i wyłuszczyła owoc swoich przemyśleń:

— A tak, panie, tak! Prawdziwa Liberty! Jakem była w Warszawie, to rozległ się jednego dnia okropny huk, aż się domy zatrzęsły, mówię panu! To szukam nazajutrz w gazetach, co się stało..

— Pewnie awaria w elektrociepłowni albo odrzutowiec przekroczył barierę dźwięku.

— ... a gdzie tam! Mówię panu, jakby się atom rozpękł nad tym, no!... Pałacem Kultury, a w prasie ani słowa, w telewizji ani słowa, ludzie też nic nie wiedzą, brak Liberty! — A u nas, panie, w Argentynie, włączam radio i już wszystko wiem — bomba na dworcu, granaty na stadionie, trzech wywrotowców zabitych w Rosario, dwóch policjantów skłutych nożami w Mendozie przez tych, no!... komunistów od Czang kay-Szeka; napad na bank, strajk, morderstwo — wszystko od razu, panie, wiem! Nikt nic nie ukrywa! Liberty, panie! Prawdziwa Liberty!

Statek przycumował do kei w samym centrum miasta, kilkadziesiąt metrów od alei Antartida Argentina, na wprost budynku redakcji La Nacion. Schodzimy z trapu i od razu widać tę Liberty. Najpierw rewiduje nas wachtman, potem żandarm pakuje mi rękę do kieszeni

— Co to jest? — pyta.

— Książka.

— Polityczna?

— Skąd!

— Bo ja pana nie chcę straszyć! — grozi mi palcem. — Żadnej mi tu propagandy!

Po chwili szpera już w torebce mojej żony.

— Y que est esto? — wskazuje cepeliowski bieżnik.

— Esto est un regalo — odpowiada żona szkolną hiszpańszczyzną. I dodaje: — Para mia amiga, senor.

Żandarm uśmiecha się, bo dla kobiet oni zawsze mają uśmiech.

— Ale radzę nie próbować handelku — przestrzega. — Co się wynosi, trzeba przynieść z powrotem.

Żołnierze strzegący portu nie trzymają automatów przy nodze, ani na ramieniu, tylko wycelowane (z palcem na cynglu) pod pachą. Na tablicach określających militarną strefę nadbrzeża pisze, że przejście otwarte jest dla cywilów tylko do godziny ósmej wieczór i makietowy wojak mierzy do ciebie z karabinu.

— Trzy rejsy temu oglądałem w Buenosie film — wspomina marynarz pokładowy, Krzysztof. — Akcja rozgrywała się współcześnie w Warszawie; dzielny amerykański szpieg walczył z komunistyczną milicją — gonitwa, mordobicie, strzały. Serce mnie rozbolało od tego wszystkiego, potem kurtyna, wychodzę na ulicę, a tu rzeczywiście wojna: tłum Argentyńczyków, kobiety, dzieci pryskają po bramach, policja i wojsko pruje z rozpylaczy, ktoś tam, łomocząc butami po chodniku, odszczekuje się w biegu z colta...

Liberty! Osiemdziesięcioparoletnia kobieta, która pięciokrotnie przemierzała trasę Buenos Aires — Gdynia i z powrotem w poszukiwaniu swojej prawdziwej Itaki, pociąga nosem, jakby wdychała zapach najwspanialszych perfum. Jest Polką i obywatelką argentyńską; jej dramatyczne losy, to książka! Łańcuch dziwnych, egzotycznych przygód, które niesie ze sobą emigracja. Póki co jednak — muszę milczeć! Mam umowę z Krajową Agencją Wydawniczą na pozycję do Expressu Reporterów. Warunek: materiał oryginalny, nie drukowany wcześniej w całości czy kawałkach. W porządku! Będzie oryginalny. Wypada jednak wspomnieć, że moja przyszła bohaterka podsunęła mi pewien trop.

— Niech pan jedzie na ulicę Serrano. Trzy kwadry (przystanki) od Placu Italia znajdzie pan Dom Polski.

— Jaki numer?

— Nie pamiętam. Ale niech pan szuka orła w koronie, rzuca się w oczy.

Wedle „Kontynentów", Buenos Aires jest największym miastem Ameryki Łacińskiej i liczy sobie jedenaście milionów obywateli. Jednakże plan kolosa jest niezwykle precyzyjny. Odszukałem krańcówkę metra przy dworcu kolejowym Retiro i za czterdzieści pesos dojechałem do stacji rozdzielczej 9 de Julio. Tam przesiadłem się w metro linii niebieskiej, o pięknych, wyłożonych lustrami i jasnym drewnem wagonach, które przywodziły na myśl wnętrza kolejek „kowbojskich" z końca ubiegłego wieku. Obok mnie zaktywizował się tajniak i bez żenady zaczął obmacywać kieszenie brodatego osobnika. Szukał zapewne broni. Ale nie znalazł. Czerwony od doznanych upokorzeń osobnik wysiadł bez szemrania na przystanku Callao, a tajniak pozostał w wagonie.

Na Placu Italia spytałem o ulicę Sorreno. Ten, có mi ją wskazał, szedł potem jakiś czas za mną i uległem przykremu uczuciu osaczenia. Sprawiałem przecież dość dziwne wrażenie, rozglądając się po obu stronach ulicy w poszukiwaniu ukoronowanego orzełka. Było ciemno, dwudziesta z minutami. Fasady domów rozmazywały się w oczach. Rozmyślałem o tym, co mówili mi marynarze. W przeciwieństwie do brazylijskiej, Polonia argentyńska jest nam w poważnej mierze wroga. W Brazylii spotkać można wielu prostych, szczerych ludzi, w Buenosie rej wodzi arystokracja. Nie daj Bóg powiedzieć coś dobrego o Polsce. Choćbyś tylko pochwalił nową Warszawę, albo, dla przykładu, strukturę szkolnictwa, już jesteś spalony. Usłyszysz zaraz wytwornie modulowany głos: „Proszę pana, niech pan już raczej nigdy nas nie odwiedza. Po co mamy się kłócić". Poza tym — oni tam nie lubią przypadkowych osób. Żeby wejść i nawiązać dialog, trzeba mieć rekomendację... To moja staruszka... Muszę przecież ją sprawdzić...

Mijam trzecią przecznicę i od razu dostrzegam wspomnianego orzełka. Jeden zero dla staruszki! Wchodzę do wyłożonego marmurami hallu. Tablice na ścianach. Chwała Piłsudskiemu! Niech żyje Sikorski! Gdzieś na górze równomierny, straszliwy tupot nóg, jakby tabun koni demolował klubowe pokoje. Restauracja na dole, obszerna, wygodna, z dużym barem i wysokimi stołkami. Zajmuję jeden z nielicznych, wolnych stolików, taksowany zewsząd uważnymi choć dyskretnymi spojrzeniami. Nie rozglądam się zrazu. Studiuję kartę: flaki po polsku, kołduny litewskie, zraz zawijany, befsztyk, schabowy... Kelnerka już jest. Zamawiam pieczeń wołową z kapustą i karafkę czerwonego wina. W zmrużonych, czujnych oczach znak zapytania. Ale oddala się bez słowa. Nie znam wprawdzie przedwojennej Warszawy, jednakże czuję się tak, jakbym tam trafił wstecznym biegiem zegara. Te damy leciwe z szyjami opiętymi biżuterią, ci panowie w dwurzędówkach z wywatowanymi ramionami i kusymi, obstrzępionymi rękawkami... Wstaje któryś i za serce łapie mnie jakiś bezsensowny żal — nos sępi, wąs sumiasty, twarz piękna, wytwornie przypudrowana, ale spodnie — pożal się Boże... Wyświecone, z przykrótkimi nogawkami, zwisające na tyłku, jakby ktoś wrzucił do środka sześć kilogramów kartofli.

— Panie hrabio!...

— Panie mecenasie!...

— Całuję rączki pani doktorowej!

— Pani Zosiu, admirał S. znowu zostawił okulary.

— Nie widział pan redaktora F.?

Właśnie! Redaktor! Tu przecież znajduje się redakcja „Głosu Polskiego". Kiedy kelnerka stawia przede mną zamówione danie, pytam, gdzie mógłbym kupić ostatni numer gazety.

— W barze — odpowiada niechętnie.

Idę do baru. Sufit ugina się i dudni pod tabunem koni. Co to może być? Łup, łup! Łap, łap; Łu, bu, bap! Łu, bu, bap!!!

— Słucham pana — mówi barman o wyglądzie byłego zapaśnika.

— Podobno można u pana kupić „Głos Polski"...

Chwila zawahania i gość podaje mi mokry jeszcze od farby egzemplarz. Płacę sześćdziesiąt pesos i odprowadzany przez dziesiątki par zaciekawionych oczu wracam do stolika. Tu próbuję jeść, ale gazeta nie daje mi spokoju. Zerkam na pierwszą stronę: LA VOZ DE POLONIA. I po polsku: ORGAN ZWIĄZKU POLAKÓW W ARGENTYNIE ZAŁOŻONY W 1922 ROKU. A potem pół po polsku, pół po hiszpańsku: BUENOS AIRES, AGOSTO 12 SIERPNIA 1977. Niżej artykuł wstępny Stanisława Kozaneckiego pod zniekształconym nieco przez drukarnię tytułem: SILA I SLABOSC MARKSIZMU. Styl, że tak powiem, filozoficznie pokrętny: IDEA, która pokazuje palcem na istniejącą niesprawiedliwość ipso facto pokazuje na siebie jako na antidotum tejże niesprawiedliwości i staje się z czasem synonimem tejże SPRAWIEDLIWOŚCI.

Łup, łup! Łup, łup! Łu, bu, bup!!! Łu, bu, bup!!!

Żyrandol huśta się miarowo, jęczą ściany, ale nikt z gości nie okazuje gniewu czy zniecierpliwienia. Widać — zawsze tak tutaj, w lokalu, gdzie bywał kiedyś Witold Gombrowicz, a jeszcze parę miesięcy temu — Witold Małcużyński. Wino jest smaczne, pieczeń doskonała; nastrój też jakiś taki... egzotyczno-historyczny. Powtarzam: bardziej to przypomina knajpy starej Warszawy niż Buenos Aires. Podczas, gdy brazylijska Polonia posługuje się prawie wyłącznie portugalskim, pozostając przy tym w przyjacielskich stosunkach z Ludową Praojczyzną — oni tutaj, wykrzywieni na Wschód, rozmawiają tylko po polsku.

Pan zamawia befsztyk, pani kotlet schabowy. Ich dzieci: ośmioletni lnianowłosy, piegowaty brzdąc i nieco starsza dziewczynka grzmocą sztućcami po stole.

— A wy co? — zapytuje ich serdecznie kelnerka.

Mamroczą coś po hiszpańsku.

— No, co będziecie jadły? — ponagla nerwowo tatuś.

Znowu hiszpańszczyzna.

Twarz tatusia nabiega krwią. Łapię malca za ucho i przykręca niczym ksiądz na lekcjach religii.

— Po polsku mów, trzpiocie, słyszysz! Po polsku!

— Pie...pie...pielogi plosę! — duka z hardą miną dzieciak. — Pielogi i ciastka!

— A ty?

Dziewczyna trzepoce rzęsami. Widać, że rozumie wszystko, ale sformułować zamówienie w tym dziwnym i trudnym języku, to już chyba drobna przesada.

— Haga el favor de darme...

— Psia krew! — syczy wzburzony mężczyzna.

— Niech pan da spokój! — łagodzi kelnerka. — Niech zamówi jak umie.

— A co ona umie! Nawet zwykłego posiłku zamówić nie umie!

Walka o polskość najmłodszego pokolenia jest beznadziejna i z góry przegrana. To już Argentyńczycy, mimo, że ojciec Polak i matka Polka, a twarze słowiańskie. W szkole mówią po hiszpańsku, na ulicy po hiszpańsku, myślą po hiszpańsku. Może kiedyś, jak dorosną, będą dumni ze swojego pochodzenia i — zapewne — nie będą już mieli żadnych powodów, aby nienawidzieć stary kraj.

Zastanawiam się, czy są na sali ludzie sympatyzujący skrycie z dzisiejszą Polską. Na pewno są! Ale jak ich rozpoznać? Pójdę chyba na górę — tam, gdzie tabun rozbrykanych koni wybija na parkiecie swój przeraźliwy werbel.

Kawałek tynku spada mi na głowę. Nie wytrzymuję i pytam samotnego mężczyznę, skąd ten rumor.

Sonduje mnie posępnie. Ma jakieś pięćdziesiąt lat i do złudzenia przypomina amantów filmowych z międzywojennego okresu... Sposób trzymania papierosa, uczesanie, grymas ust... Już od godziny grzeje równo. Nasz komunistyczny specjał — Wyborową. Aż przyjemnie popatrzeć, jak podnosi do góry „literatkę" i chlup! sto gramów w żołądku.

— Próba tańca — odpowiada.

— Bez muzyki?

— Bez. Płyta się stłukła. Ale zapamiętali melodię z Mazowsza i ćwiczą pod własny śpiew.

Cholera! Pewnie, że jestem wzruszony!... Żeby się trochę odprężyć, pakuję nos w gazetę i studiuję ogłoszenia:

SUSY. Nowoczesny zakład kuśnierski Zdzisława Kisielewskiego. Wielki wybór futer gotowych. Belgrano 368.

Albo:

Dr Mariano Rabinowicz. Lekarz specjalista. Choroby dróg moczowych, weneryczne i syfilis.

Albo:

Jeśli chcesz zjeść dobrego bifa, to jedź do 10-tki, o nic nie pytaj. Tak jak w Warszawie, albo we Lwowie, bif na to wszystko sam ci odpowie.

(cdn.)

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka

Buenos Aires: Indiańskie dzieci.

U PRZYJACIÓŁ

MOSKWA. Współczesna literatura radziecka, a trzeba pamiętać, że obejmuje ona twórczość pisaną w 108 językach narodów tego wielkiego kraju, przedstawia obraz niezwykle złożony, w którym obok bogactwa i różnorodności stylistyk, form, tematów, można także odnaleźć pewne cechy wspólne określające miejsce tej literatury na tle światowego dorobku. Wśród tych cech na pierwszym miejscu należy wymienić jej głęboki i wszechstronny humanizm oraz ideowość. Jest to literatura, która stoi na straży najcenniejszych wartości ogólnoludzkich, a jednocześnie określa nowo zrodzone wartości społeczeństwa socjalistycznego, rozwiązującego nowe problemy na etapie gwałtownej industrializacji i urbanizacji. Drugą, bardzo znamienną właściwością literatury radzieckiej jest odwoływanie się do tradycji i historii, zarówno najdawniejszej jak i bliższej — okresu Rewolucji i międzywojennego dwudziestolecia oraz lat Wielkiej Wojny Narodowej 1941—1944. I wreszcie trzecim wyznacznikiem jej odrębności jest przenikanie wzajemne literatur różnych narodów ZSRR, z których każdy wnosi wkład swych doświadczeń i tradycji kulturalnych.

Literatura Kraju Rad przeżywa obecnie swój kolejny bujny rozkwit, co znajduje odbicie nie tylko w bogactwie tematyki, gatunków, stylistyk, lecz także w zadziwiającej płodności pisarzy starszego pokolenia i pojawieniu się bardzo licznej grupy wybitnych talentów młodszej i najmłodszej generacji prozaików. Ich utwory zdobywają uznanie nie tylko w kraju, lecz i za granicą. Książki Simonowa, Bondariewa, Bykowa, Szukszyna, Tendriakowa i innych tłumaczone są na wiele języków świata, podobnie jak wcześniej przekładane były dzieła ich znakomitych mistrzów: Szołochowa, Fiedina, A. Tołstoja i innych.

Przy ogromnej różnorodności gabunków, w literaturze radzieckiej lat ostatnich można wyodrębnić kilka zasadniczych nurtów tematycznych. Jednym z nich jest bardzo szeroko pojęta problematyka współczesna. Pisarzy interesuje miejsce jednostki w dzisiejszym społeczeństwie, wybór postaw, konflikty moralne, zaangażowanie w sprawy otaczającego środowiska. Przy czym nie jest to literatura apologetyczna, upiększająca rzeczywistość. Wręcz przeciwnie, podejmuje ona śmiało sprawy konfliktowe, wytyka niedociągnięcia i błędy w różnych sferach działalności ludzkiej.

Wątek liryczno-psychologiczny w tym nurcie reprezentuje m. in. Jurij Trifonow, Ormianin Grant Matewosjan, Ukrainiec Walerij Szewczuk. Filozoficzną zadumę nad sensem życia widzimy u bohaterów szukszynowskich. Problemy środowiska ludzi nauki odnajdujemy w powieściach M. Anczarowa, W. Amlińskiego.

Odrębną gałęzią tego nurtu jest literatura wiejska. Reprezentują ją pisarze skupieni wokół miesięcznika „Nasz Sowremiennik" — Jurij Nagibin, Wiktor Lichonosow, Eugeniusz Nosow, którzy opisują zmiany społeczne i psychiczne na współczesnej wsi radzieckiej. Wpływ nowoczesnej cywilizacji na społeczność wiejską, ścieranie się nowego ze starym jest także tematem utworów Włodzimierza Sołouchina, Wasylija Biełowa i in.

Jednym z ciekawszych zjawisk w literaturze radzieckiej ostatnich lat jest uświadamianie rodowodu współczesności, sięganie do przeszłości, by przy jej pomocy lepiej zrozumieć dzień dzisiejszy, ochronić te wartości, które powinny być zachowane dla przyszłości. Wymienić tu należy w pierwszym rzędzie powieść Georgija Markowa „Syberia", za którą pisarz otrzymał Nagrodę Leninowską w 1976 r. Ukazał on Syberię w okresie poprzedzającym bezpośrednio Rewolucję Październikową. Syberię bujną i bogatą choć rozdartą sprzecznościami, Syberię ludzi myślących i poszukujących nowych dróg. Syberyjczykom tamtych lat poświęca swą najnowszą powieść pt. „Komisja" także Siergiej Załygin.

Kontynuatorami epickiego nurtu Szołochowa, Fiedina, A. Tołstoja są tacy prozaicy rosyjscy jak Fiodor Abramow, Konstanty Simonow, Alek sander Czakowski, białoruscy — Iwan Mieleż, Iwan Ptasznikow, ukraińscy — Mychajło Stelmach, Ołeś Honczar, litewski — Jonas Avižius i in. W „Oddechu nawałnicy", która jest dalszym ciągiem „Ludzi na błotach" Mieleż podejmuje próbę uniwersalistycznego ujęcia losów człowieka i narodu na kanwie historii. To samo można powiedzieć o „Ostatnim lecie" Simonowa, „Blokadzie" Czakowskiego, czy „Utraconym dachu nad głową" Avižiusa.

Bogaty jest także nurt prozy poetyckiej, reprezentowanej m. in. przez Gruzina Otię Joselianiego, Kirgiza Czingiza Ajtmatowa, czy Rosjan — Danila Granina, Wasilija Szukszyna i innych.

Międzynarodowa wymiana informacji i osiągnięć kulturalnych, to cele na równi z innymi proklamowane w Akcie Końcowym Konferencji w Helsinkach. Współpraca w dziedzinie kultury oraz wymiany informacji należy do tzw. trzeciego koszyka — ulubionego tematu zachodnich środków masowej informacji. Wspomina ona o tym koszyku przy każdej okazji, kiedy po raz któryś tam z rzędu chce zaatakować Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne. Zobaczmy więc, jakimi osiągnięciami w dziedzinach, które mieszczą się w pojęciu owego trzeciego koszyka może się poszczycić Związek Radziecki.

Na wstępie trochę liczb i faktów opublikowanych przez międzynarodową organizację, do której należą przedstawiciele zarówno krajów Zachodu jak i Wschodu. Według danych UNESCO, Związek Radziecki już od wielu lat zajmuje wiodącą pozycję w świecie ze swymi 236 wydawnictwami, w tej liczbie 202 książkowymi.

KSIĄŻKA W ZSRR

Sto milionów egzemplarzy w 1976 roku

ZSRR w pełni docenia fakt, iż w Akcie Końcowym Konferencji w Helsinkach ważną rolę powierza się książce jako środkowi ułatwiającemu wzajemne zrozumienie między narodami i że zachęca się uczestników Konferencji do zwiększania ilości przekładów utworów z zakresu literatury oraz z innych dziedzin działalności kulturalnej. ZSRR niemal nazajutrz po podpisaniu Aktu Końcowego, podjął szereg konkretnych decyzji w celu wykonania porozumienia zawartego w Helsinkach. Tylko w okresie roku 1975—1976 wydano w ZSRR przekłady książek 6 tysięcy zagranicznych autorów w nakładzie 70 milionów egzemplarzy, nie licząc mnóstwa publikacji w periodykach. Obok utworów klasyków literatury rosyjskiej i literatury innych narodów ZSRR, drukuje się wielotomowe wydania autorów zagranicznych.

Pierwsze miejsce w świecie zajmuje Związek Radziecki pod względem liczby przekładów. Poczynając od 1917 roku w ZSRR ukazały się książki autorów ze 136 krajów, wśród nich utwory około 1.400 pisarzy USA, Anglii, Francji, Włoch. Związek Radziecki jest jednym z najbardziej „czytających" krajów świata; średnio wydaje się tutaj w ciągu roku dwukrotnie więcej książek literatury pięknej, niż we Włoszech, Francji i Japonii razem wziętych, prawie czterokrotnie więcej niż w Stanach Zjednoczonych i niemal ośmiokrotnie więcej niż w Wielkiej Brytanii. Około 100 wielkich radzieckich bibliotek uczestniczy w międzynarodowej wymianie książek z około stu zagranicznymi krajami. Średnio w ciągu roku radzieckie biblioteki otrzymują 900 tysięcy tytułów książek zagranicznych i wysyłają za granicę ponad milion książek i czasopism wychodzących w ZSRR. Już tylko te fakty całkowicie demaskują wymysły, że radzieccy obywatele są odgrodzeni od Zachodu i otrzymują „przefiltrowaną informację".

Słyszy się często, jakoby w krajach kapitalistycznych istniał „wielki wybór kulturalny". Jednakże i na ten temat istnieją dane porównawcze, które świadczą o czymś wręcz przeciwnym. **Od 1945 do 1975 roku w Związku Radzieckim ukazało się 7.379 książek autorów amerykańskich, 4.664 książki autorów francuskich, 4.590 książek autorów angielskich i 901 utworów włoskich.** W przeciągu tego samego okresu czasu w USA, Francji, Wielkiej Brytanii i Włoszech wydano odpowiednio: 450, 628, 437 i 407 książek autorów radzieckich. Po Konferencji w Helsinkach liczba przekładów z literatury obcej w ZSRR zwiększyła się bardzo znacznie. Na przykład w 1976 roku w Związku Radzieckim opublikowano 1587 tytułów książek autorów zagranicznych w przekładzie z 45 języków, w nakładzie blisko 100 milionów egzemplarzy.

Nie przesadzając ani trochę, można powiedzieć, iż Związek Radziecki jest największym w świecie producentem i jednocześnie konsumentem „produkcji książkowej". **W ZSRR wydaje się rocznie ponad 83 tysiące tytułów książek i broszur o łącznym nakładzie blisko 2 miliardy egzemplarzy.** Z badań socjologicznych wynika, iż ponad 75 procent ludzi radzieckich czyta książki i periodyki, 95 procent rodzin radzieckich kupuje książki i posiada własne, nieraz bogate księgozbiory. Dla wszystkich stoi otworem 360 tysięcy publicznych bibliotek z księgozbiorem blisko 3 i pół miliarda tomów.

W 1975 roku **na scenach radzieckich** wystawiono sztuki ponad 130 zagranicznych dramaturgów Obok utworów współczesnych autorów, takich, jak np. Jean Anouilh, czy Friedrich Dürrenmatt, do repertuarów teatrów w ZSRR wchodzą także sztuki zagranicznych klasyków. Ogromnym powodzeniem cieszą się sztuki Szekspira i starogreckie tragedie.

W Związku Radzieckim nie zapomina się również o **miłośnikach muzyki.** Ogromną popularnością cieszy się Międzynarodowy Konkurs im. Czajkowskiego, który co cztery lata odbywa się w Moskwie. Uczestniczą w nim młodzi wykonawcy z wielu krajów świata. W 1974 roku w konkursie wzięło udział 281 wykonawców z 37 krajów. W skład jury wchodziło 84 muzyków cieszących się światową sławą.

Kino stało się w naszych czasach bardzo aktywną formą sztuki, cieszącą się masowym zainteresowaniem. W 1976 roku Związek Radziecki zakupił filmy w 100 krajach, z czego 70 kupiono w krajach socjalistycznych, a 60 w kapitalistycznych. **W ciągu 9 lat, od 1966 roku do 1975, Związek Radziecki zakupił w USA 61 filmów. Pokazano je we wszystkich zakątkach kraju.** Dla porównania warto wspomnieć, że Stany Zjednoczone zakupiły w tym samym okresie czasu 25 radzieckich filmów, z których połowy w ogóle nie pokazano na ekranach amerykańskich.

W dziedzinie kinematografii Związek Radziecki stwarza także okazję mistrzom sztuki filmowej różnych krajów świata do wypróbowania własnych sił. Co dwa lata odbywa się w Moskwie Festiwal Filmowy, w którym bierze udział coraz większa ilość gości zagranicznych. Postępowi filmowcy z całego świata uważają moskiewskie festiwale filmowe za miejsce pożytecznych i interesujących spotkań. Tak więc dywagacje zachodnich środków masowej informacji są bezpodstawne także w odniesieniu do filmu.

Wymiana kulturalna z zagranicą cieszy się pełnym poparciem państwa radzieckiego. ZSRR utrzymuje kontakty kulturalne ze 120 krajami świata, a z 82 spośród nich zawarł porozumienie o współpracy w dziedzinie kultury.

Wszystkie podane tutaj liczby i fakty świadczą o tym, iż obywatele Związku Radzieckiego mają szerokie możliwości otrzymywania informacji o wydarzeniach w kulturalnym i politycznym życiu zagranicy. A zatem to co mieści się w „rejestrze" tzw. trzeciego koszyka, wykonuje się w Związku Radzieckim w całej rozciągłości. Przytoczone fakty świadczą, iż ZSRR przoduje w dziedzinie rozszerzania wymiany kulturalnej w interesie lepszego wzajemnego zrozumienia między ludźmi i narodami.

Rola i miejsce literatury przekładowej w duchowym życiu ludzi radzieckich, osiągnięcia ZSRR w dziedzinie wydawnictwa i rozpowszechniania książek autorów zagranicznych, propagowanie przekładów klasycznej i współczesnej literatury światowej, słowem — ogromne osiągnięcia Kraju Rad w tych dziedzinach były treścią „Wystawy Książek Autorów Zagranicznych, wydanych w ZSRR, w latach 1917—1977", którą zorganizowano w Moskwie, w lipcu tego roku.

JERZY CZECH

OFIARY PRÓB NA BIKINI

Wśród mieszkańców jednej z wysp Mikronezji, którzy jak uważano dotąd, otrzymali dopuszczalną dawkę promieniowania podczas próbnego wybuchu amerykańskiej bomby wodorowej w 1954 roku, obserwuje się wysoki stopień zachorowalności na raka i schorzeń gruczołu tarczycowego. Wzrost zachorowań, który stał się widoczny dopiero po upływie 20 lat od chwili opadu na wyspę pyłu radioaktywnego zmusza specjalistów — fizjologów do rewizji poglądu, co do wielkości dawki napromieniowania niebezpiecznej dla organizmu człowieka.

„Mieszkańcy atolu Utirik są głęboko zaniepokojeni i oburzeni następstwami promieniowania radioaktywnego" — mówi się w piśmie mieszkańców wyspy skierowanym do Urzędu Badań Energetycznych i Opracowań USA (UEIR), który jest odpowiedzialny za wykonywanie programu medycznego na wyspach Marshalla. Swego czasu UEIR i Komisja Energii Atomowej USA przebadały 157 mieszkańców atolu Utirik, którzy zostali napromieniowani w wyniku opadów radioaktywnych w dniu 1 marca 1954 roku. U 11 osób stwierdzono wówczas obrzęk gruczołu tarczycowego, a u 3 guzy nowotworowe. Jednakże aż do momentu, kiedy zarejestrowano w br. wzrost schorzeń gruczołu tarczycowego, mieszkańcy wyspy wierzyli, iż dawka napromieniowania którą otrzymali w wyniku amerykańskich prób z bronią wodorową jest, jak ich zapewniano, zbyt mała, żeby się mogła odbić na ich zdrowiu. Fakty są inne.

Jak niedawno stwierdzono, na raka gruczołu tarczycowego zachorował syn jednego z mieszkańców atolu Utirik, którzy zostali napromieniowani pyłem radioaktywnym w 1954 roku. Swiadczy to o możliwości genetycznych następstw radiacji w drugim pokoleniu. Medyczny program UEIR nie przewidywał badania dzieci ofiar napromieniowania i możliwości genetycznych następstw radiacji. „Uważano, iż mieszkańcy atolu Utirik otrzymali bardzo niewielkie dawki napromieniowania i dlatego nie ma konieczności szczegółowej obserwacji" — stwierdził dr Conrad Cotready, były przedstawiciel laboratorium badawczego na Wyspach Marshalla. Jednakże fakty zachorowań na raka na atolu Utirik wskazują bez wątpienia, iż teoria amerykańskiego specjalisty jest z gruntu fałszywa.

Specjalna komisja ustawodawczego zgromadzenia Mikronezji wskazuje na zaniepokojenie ludności Wysp Marshalla w związku z następstwami radiacji, występującymi zresztą nie tylko na atolach Rongelan i Utirik, lecz także na Bikini, gdzie prowadzono próby jądrowe i dokąd teraz powracają stopniowo mieszkańcy wyspy.

(C)

• BOMBA „N" NIEPOKOI ZACHÓD
• SYTUACJA NA CYPRZE

Mimo silnego nacisku ministra obrony USA, G. Browna, uczestnicy niedawnej narady planowania jądrowego NATO, odbywającej się w Bari, we Włoszech, ponownie odłożyli decyzję w sprawie produkcji i rozprzestrzeniania w zachodniej Europie broni neutronowej. W opublikowanym komunikacie mówi się tylko, że rozwiązanie tego problemu przedyskutuje się na następnej naradzie, która odbędzie się w Kopenhadze wiosną 1978 roku. Jak informują obserwatorzy, tę zmianę tonu europejskich sojuszników NATO, którzy, ogólnie rzecz biorąc, nie protestują przeciwko głowicy neutronowej, należy tłumaczyć chęcią uchronienia — w obliczu rosnącej opozycji narodów — swoich rządów od odpowiedzialności za decyzję rozpowszechniania tej nowej broni. Wolą, żeby ten cios wziął na siebie Waszyngton.

Tak więc dwudniowe narady grupy planowania jądrowego NATO zakończyły się fiaskiem. Mimo silnych nacisków Browna, jego koledzy z NATO uznali, iż podjęcie tak ważnej decyzji w trybie przyspieszonym **jest zbyt ryzykowne.** W większości krajów NATO, a w tej liczbie także w Stanach Zjednoczonych, zwiększa się opozycja społeczeństw przeciwko uzbrajaniu armii w broń neutronową. Opozycja ta jest tak silna, że — jak wiadomo — prezydent Carter musiał już raz odłożyć podjęcie decyzji o produkcji broni neutronowej. Od grupy planowania jądrowego NATO, do której wchodzi siedem państw, nie wymaga się jednomyślnego podjęcia decyzji „za" lub „przeciw" głowicy neutronowej.

Stany Zjednoczone uważają, iż do tego, by rozpocząć tę produkcję, wystarczy zwykła większość głosów. Ale wiodący członkowie bloku, na których terytoriach państwowych proponuje się rozmieszczenie głowic neutronowych, a mianowicie zachodnie Niemcy, Anglia i Włochy, są najwidoczniej dalekie od podjęcia jakiejkolwiek konkretnej decyzji — pozytywnej lub odmownej. Stany Zjednoczone oświadczyły sojusznikom, że głowica neutronowa jest przeznaczona tylko do ewentualnego zastosowania w Europie. Teraz, po ponownym odłożeniu tej sprawy, znajdzie się ona — być może — na porządku dziennym podczas zapowiedzianej w przyszłym miesiącu wizyty prezydenta Cartera w Brukseli.

Komentatorzy polityczni zwracają uwagę, iż dyskusje wokół sprawy potencjalnego rozpowszechniania tej nowej amerykańskiej broni, wzbudzają duże zaniepokojenie w RFN, Wielkiej Brytanii, Belgii i Holandii.

★

Informacje napływające ostatnio z Aten, Stambułu i Nikozji świadczą o nasilających się próbach krajów imperialistycznych bezceremonialnego mieszania się w wewnętrzne sprawy Cypru, narzucenia takiego „uregulowania" problemu cypryjskiego, które by odpowiadało interesom NATO-wskich strategów. Niedawno turecka gazeta „Gunaydin" poinformowała o istnieniu tzw. amerykańskiego planu normalizacji sytuacji na wyspie. Przewiduje się w nim ustawową realizację, narzuconego przez NATO w 1974 roku, faktycznego podziału wyspy. Proponuje się stworzenie jakiegoś „trójstrefowego" państwa cypryjskiego. Każda z owych trzech stref wyspy, związanych z sobą bardzo luźno, będzie się rządzić osobno: w jednej będą rządzić Grecy, w drugiej — Turcy, natomiast trzecia ma być czymś w rodzaju „rządu centralnego". Jednocześnie Zachód aktywizuje swoje wysiłki w negocjacjach między stronami pozostającymi w konflikcie. Mówi się o planach przeprowadzenia konferencji z udziałem Grecji, Turcji i Anglii, a także przedstawicieli społeczności: greckiej i tureckiej, zamieszkujących wyspę. Nie przewiduje się zaproszenia na tę konferencję legalnego rządu Cypru. W związku z tym prezydent Kiprianu złożył oświadczenie, że jego rząd wypowiada się przeciwko przeprowadzeniu jakiejkolwiek konferencji poza ramami ONZ i nalega na całkowite wykonanie rezolucji w sprawie Cypru, uchwalonej przez tę międzynarodową organizację.

Występując na XXXII sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, prezydent Kiprianu poparł radziecką propozycję zorganizowania reprezentatywnej międzynarodowej konferencji pod egidą ONZ w celu znalezienia dróg rozwiązania kryzysu. Ze swej strony sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim, odbył w tych dniach spotkania z przywódcami greckimi i tureckimi, a także z przedstawicielami społeczności greckiej i tureckiej, mieszkającymi na Cyprze.

Celem tych spotkań, jak podaje stambulska gazeta „Milliyet", jest stworzenie warunków do wznowienia rozmów między społecznościami: turecką i grecką, co mogłoby pomóc w uregulowaniu kwestii spornych. Rozwój sytuacji na Cyprze, niebezpieczne plany opracowywane przez mocarstwa imperialistyczne — wzbudzają głębokie zaniepokojenie postępowych kół społeczeństwa wyspy. Jak zauważył w wywiadzie dla bejruckiego pisma „Al-Hurrija" sekretarz generalny Postępowej Partii Ludu Pracującego Cypru (AKEL), E. Papajoanu, USA i ich sojusznicy chcą pozbawić Cypr niepodległości i przekształcić go w przydatek do bloku NATO.

(Stok.)

FILM

POTĘPIENIE FASZYZMU

W Hiszpanii warunki pracy postępowych twórców filmowych są nadal trudne. Mimo to udało im się stworzyć szereg wybitnych filmów publicystycznych potępiających faszyzm. Do czołówki tej postępowej awangardy filmowej należy, m in. Basilio Martino Patino.

Jego ostatni film pt. „Caudillo" nie ukazał się jeszcze oficjalnie na ekranach hiszpańskich kin. Generalny Urząd do Spraw Kinematografii nie zezwolił na wyświetlanie filmu, chociaż formalnie nie wydał takiego zakazu. „Caudilla" pokazywano kilkakrotnie na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Zachodnim Berlinie, gdzie też mogli go obejrzeć hiszpańscy dziennikarze. W Hiszpanii odbyło się zaledwie kilka zamkniętych projekcji filmu dla bardzo ograniczonego grona wybranych widzów: filmowców, krytyków i działaczy politycznych.

Martin Patino jest reżyserem kilku wybitnych dzieł. W swoim nowym filmie, Patino, uznany mistrz filmowego montażu — opowiada o zagarnięciu władzy przez gen. Franco. Używając wszystkich środków wyrazu — muzyki, barwy, rytmu — reżyser stworzył dokumentalny obraz caudilla. Franco, taki, jakim go widzi twórca filmu i jakim przedstawił go widzom, jest człowiekiem którego opis można sobie darować, bowiem prawdziwym bohaterem obrazu jest naród hiszpański, okradany, poniżany, okłamywany nie tylko przez generała, lecz także przez wszystkich, którym na tym zależało. A oto co o filmie mówi Patino korespondentowi madryckiego pisma „Cambio 16":

— To nie tyle film o dyktatorze, co kinematograficzna opowieść o naszej wojnie domowej, widzianej przez pryzmat dokonanego faktu zagarnięcia władzy przez Franco, przez pryzmat terroru i gwałtu, które nastąpiły wraz z jego dojściem do władzy, które przeżyłem osobiście i które okaleczyły mnie i upokorzyły na całe życie. Dla mnie ten film jest swego rodzaju odwetem. Nie mogłem go nie zrobić. Musiałem poczuć że żyję, zdać sobie sprawę z siły, która może zniszczyć niebezpieczeństwo nowego niewolnictwa, musiałem się oczyścić ze strachu, którego doświadczałem jako artysta.

Montaż materiałów archiwalnych, z jednej strony bliski pracy archeologa, z drugiej strony był nieustannym zabieganiem o przeniesienie baz fałszu: wymowy, atmosfery, gorąca odczuć odtwarzanej epoki. Chodzi przede wszystkim o to, żeby widz poczuł się nie pasywnym obserwatorem, lecz zainteresowanym uczestnikiem wydarzeń, trzeba wzbudzić w nim uczucie odpowiedzialności, starać się o to, żeby ten czy inny epizod nie opowiadał wprost o jakimś fakcie martwej historii, a — troskliwie dobrany, sprawdzony, osadzony wśród takich samych dobranych i sprawdzonych epizodów — napełniał życiem i aktualnością suche fakty przeszłości, nadawał im dawną wybuchową siłę.

Uważam, że artysta tworząc film tworzy własny mikrokosmos według wymogów własnej intuicji i tylko wtedy osiąga prawdziwą siłę przekonywania, kiedy udaje mu się dokładnie sprawdzić wzajemny stosunek „magii" kina i autentyczności. Ale nie oznacza to, że ma on prawo do przeinaczania rzeczywistości. Artysta wybiera — nie umiem powiedzieć w jaki sposób — taki wycinek życia, który wywiera na nas największe wrażenie swoją złożonością sprzecznościami, bogactwem barw. Ja wiem, postawią mi zarzut o brak konsekwencji, o dwuznaczność. Niech będzie, to mnie cieszy, w każdym razie nikt nie oskarży mnie o schematyzm.

Zdumiewa mnie ciepło, z jakim widzowie festiwalu w Zachodnim Berlinie przyjęli „Caudilla". Ale o wiele większe zdziwienie powinna wywołać, moim zdaniem, bezbronność, z jaką jesteśmy zmuszeni przedstawiać w oczach świata kraj nazywający się Hiszpania.

Burzliwe debaty o narodowej estetyce zmusiły mnie jeszcze raz przypomnieć o tym, że — nie pamiętam do kogo należą te słowa — „być Hiszpanem, to najtrudniejsza sprawa w tym świecie". Nie dobite jeszcze frankistowskie związki zawodowe zdołały jednak wysłać do Zachodniego Berlina swoich funkcjonariuszy, powierzając im trudne, ale „patriotyczne" zadanie, z którego nie mogli się wywiązać we własnej ojczyźnie: dezawuowanie mojego „Caudilla".

Za każdym razem wspominam z satysfakcją z jaką furią oficjalny przedstawiciel Hiszpanii, nie krępując się ogromnego zdumienia dziennikarzy z różnych krajów, usiłował sponiewierać mój film na wszelkie możliwe sposoby, grożąc mi na przemian to więzieniem, to pozbawieniem obywatelstwa.

Mam nadzieję, że wraz ze stworzeniem filmu „Caudillo" kończy się dla mnie okres pracy podziemnej. Nie znaczy to jednak, że automatycznie wstępuję na służbę obecnych władz hiszpańskich. Nie za górami jest dzień kiedy staniemy na czele demokratycznej Hiszpanii, żeby służyć jej narodowi.

(st.)

REPORTAŻ

Fot. M. Zajdler

SŁAWOMIR DARZYCKI

I NIBY WSZYSTKO JEST...

Po raz pierwszy zobaczyłem go w tramwaju — właściwie nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród wielu pasażerów. Kłopoty sprawiał jego bagaż: wiadro, szczotka na długim kiju i olbrzymia koperta ze stertą papieru przewieszona „po listonoszowsku" przez ramię. Ludzie wsiadali, popychali go i — przy okazji niejako — ci najbardziej „życzliwi" dorzucali: gdzieś się pan z tym wybrał? Na majówkę? Przesuń się pan dalej, bo...

Po kilku przystankach mężczyzna wysiadł, już z ulicy spojrzał w kierunku tramwaju i mruknął coś do siebie. Szedł z tłumem: niski, krępy, w granatowym berecie na głowie. Zmęczony wysiłkiem usiadł na ławce — patrzył na ludzi. Odpoczywał. W końcu zgarnął swój ekwipunek i poszedł dalej. Po chwili pracował już przy słupie ogłoszeniowym: wyjął plakat, posmarował ścianę klejem, przyłożył, przeciągnął jeszcze raz — żeby lepiej trzymało i następny, następny... „LUNA PARK" krzyczą kolorowe litery, a pokraczny pajac z małpią twarzą krzywi usta w przeraźliwym uśmiechu.

REGUŁY

Jest ich trzech. Na dzielnicę? Nie — na całe miasto. Każdy ma swój rejon, każdy zna na pamięć „swoje" ulice, zna najkrótsze dojścia; wie, że czasem lepiej przejść dwie przecznice, niż w komunikacyjnym szczycie pchać się do tramwaju. Wiedzą, gdzie dozorca jest dobry, gdzie można w portierni usiąść i pozwolić odpocząć zmęczonym plecom. W każdej chwili potrafią powiedzieć o ważniejszych imprezach na terenie Łodzi, a niekiedy i kraju. I pomimo iż żaden z nich nie był nigdy w Szkole Plastycznej, to znają się na plakatach jak mało kto. Chyba doświadczenie sprawiło, że dzielą plakaty na dwa rodzaje: „nekrologowe" i normalne. Te pierwsze są czarne, szare i na słupie sprawiają ponure wrażenie. Normalne — to wszystkie inne, często kolorowe, ładne. Są plakaty, które się lubi, ogląda długo, bo komponują się z pozostałymi. Te zawsze „idą" na widoczne miejsce, od frontu. „Brzydkie kaczątka", chałtury plastyków i tradycyjne, które od wielu lat nie zmieniają układu graficznego — wiszą niżej i po bokach.

Na ulicy Wierzbowej pod numerem 27 trudno zauważyć miniaturowy szyldzik na olbrzymiej ścianie bloku mieszkalnego: Spółdzielnia Inwalidów im. H. Sawickiej. Odkażanie telefonów, plakatowanie... Trzej mężczyźni tu pracujący tworzą najmniejszą chyba w Łodzi brygadę.

BRYGADA

Jak w każdej brygadzie — tak i w tej — jest brygadzista. **Mieczysław Nowowiejski** pracuje w tej branży od dwunastu lat. Początkowo nie chce mówić o sobie i swojej pracy. Bo i o czym — pyta. Praca jak praca. Co w niej takiego ciekawego? Pozostali członkowie brygady patrzą na szefa. Przytakują. Jeden pracuje jedenaście lat, drugi terminuje od kilku miesięcy. Więcej ludzi nie trzeba — mówi pan Mieczysław — nie byłoby co robić.

Miałem przygotowanych kilkanaście pytań, ale okazało się, że nie będą mi już potrzebne. Mój rozmówca zapalił się nagle do rozmowy.

„...zaraz po wojnie było w Łodzi ponad 350 stałych miejsc, gdzie można było rozlepiać plakaty. Jeszcze dziesięć lat temu pracowaliśmy w osiem osób, i każdy miał co robić. A teraz? Nie ma się czym chwalić — została jedna szósta tego co było. Część słupów rozebrano, bo zasłaniały widoczność kierowcom albo utrudniały ruch, część zburzono wraz ze starymi domami. To co zostało, to chyba też długo nie postoi. Mech na nich rośnie i trawa, a od spodu krzaki, i rozsadzają podmurówkę. Wprawdzie mamy pozwolenie i możemy kleić na niektórych płotach przy budowach, ale to już nie to. Prawdziwy, przedwojenny słup ogłoszeniowy to była firma! Solidny, w widocznym miejscu, obowiązkowo z „kapeluszem", żeby woda nie spływała. Tak — wtedy słup ogłoszeniowy był częścią miasta. Tak jak ludzie i domy. Skąd ja to wiem? Był u nas jeden przedwojenny jeszcze pracownik. To on mi opowiadał... Za z pięć lat będzie jak odszedł...

...cóż z tego, że przykleję plakat na płocie, kiedy najmniejszy deszcz wszystko zmoczy i plakat płynie. Jak to gdzie? No, na dół. Na ziemię. Szkoda roboty i szkoda pieniędzy. Musimy wtedy poprawiać pineskami, ale wtedy ukradną jak nic. Zaplanowali, że będziemy mieli w sumie trzysta stałych miejsc, tylko na plakaty. Kiedy? Czy ja wiem? Co było, nie wróci, a żal...

...pewnie ze dwa lata temu była taka wystawa, jak gdyby giełda. Oglądaliśmy cztery nowe wzorce, które zastąpią stare, tradycyjne „okrąglaki". My byliśmy najważniejsi: naklejaliśmy na każdy po kolei. Najlepiej pracowało się na takiej falistej ścianie, to i ją komisja zatwierdziła. Nas też pytali, radzili się. Jedną taką „falę" już wybudowali, przy rondzie. Owszem ładnie to wygląda, wzrok przyciąga. Nowoczesne i takie udane. I niby wszystko jest w porządku, tylko o daszku zapomnieli. Mają jeszcze zrobić...".

LUDZIE

„...ludzie to robią i dla ludzi. Ale z ludźmi różnie bywa: zaczyna się już w tramwaju. Nie szanują teraz człowieka — nie chcą zrozumieć, że z pełnym wiadrem, torbą z plakatami i szczotką daleko się nie zajdzie. Sił nie wystarczy, a i czasu się zmarnuje. W końcu po to mamy bilety tramwajowe, żeby jeździć. Unikamy szczytów komunikacyjnych, ale czasami trzeba jechać w tłoku i wysłuchiwać takich różnych. A przecież nigdy się nie zdarzyło, żebyśmy kogoś ubrudzili. Z pełnym wiadrem wcale nie tak łatwo utrzymać równowagę, nie można wylać kleju i upuścić plakatów. Chce pan spróbować?

...pod słupem stajemy na kilkanaście minut. Najpierw ogląda się to co jest: czy dobrze trzyma, czy jeszcze aktualne. Niepotrzebne i poniszczone trzeba zerwać i wyrzucić. Tylko gdzie? Najlepiej byłoby do puszek ze śmieciami, bo ciężko nosić ze sobą worek makulatury. Tu swoją władzę pokazują dozorcy — oczywiście nie wszyscy. Jednak większość zabrania nam wyrzucać do kubłów. Zarezerwowane dla swoich — mówią. Wtedy trzeba szukać, chodzić — pod słupem brudów przecież nie zostawię...

...my nic nie mówimy jak zimą dozorcy odgarniają śnieg pod nasze słupy. A to już taka złośliwość. Dojść nie można i często słup od dołu przywalony śniegiem, że cała robota na nic. Znowu latem pełno saturatorów i straganów. Tak, cienia szukają, a i oprzeć się można. Każdy taki ważny, że nie podchodź...

...jak jest bardzo zimno, to też pracujemy. Ludzie wytrzymują, tylko klej stygnie. Trzeba wtedy pilnować i gdzieś na mieście dolewać gorącej wody. Pomagają nam portierzy z różnych zakładów. Pozwalają się ogrzać, papierosa można zapalić, jak kto lubi...

...ciekawscy zaglądają przez ramię co będę kleił, czytają jeszcze w ręku. Od czasu do czasu znajdzie się jakiś komentator i zaczyna swoje: po cholerę to wieszać, przecież nikt tego i tak nie będzie czytał; na gazety i książki papieru nie ma, a na takie bzdury jest... No i co ja mam takiemu powiedzieć? Zrobić mu wykład o reklamie? Chociaż i mnie nie raz ruszy, jak widzę prawie czarny plakat, na którym człowiek stoi, ubrany i pokazany od pasa w dół. Cały czarny, tylko na nogach ma białe kalosze. Do tego jest jeszcze coś napisane o chorobach wenerycznych i zapobieganiu zarażeniom... Co to za artysta wymyślił? Mówią, że każdy plakat jest oglądany przez głównego plastyka. Pewnie wtedy go nie było, może był na urlopie...

...najwięcej dogadują ludzie starsi, chyba emeryci. Oni nie mają co robić z wolnym czasem i chodzą po ulicach i patrzą. Szukają. A ja nie mam czasu z nimi rozmawiać. Zdenerwuje się człowiek, ręce się trzęsą i pracować nie można...

...plakaty przysyłają do nas różne instytucje. Z całej Polski. Dziwią się tylko, że tak mało bierzemy, bo tylko po siedemdziesiąt sztuk. Były już z Warszawy, Katowic; Targi Poznańskie też mieliśmy. Ale co my będziemy brali, jak nie ma gdzie powiesić. Mówią ciągle w Telewizji o zielonym świetle dla tego, czy tamtego, a kto nam takie zapali? Co, może my już się w ogóle nie będziemy liczyć...?".

ZAGROŻENIA I POKUSY

„...największym wrogiem jest dla nas deszcz, ale nie tylko. Jak pada, to nieprzyjemnie wychodzić, bo wszystko mokre. Wtedy raczej na pewno plakat odpadnie. A wszystko dlatego, że mało który słup ma prawidłowy daszek. No i w dobrym stanie. Każdy Urząd w dzielnicy ma pilnować słupów na swoim terenie. No i co? Nic. Tylko na Widzewie tego przestrzegają. Pochwalić by trzeba...

...plagą są dzieci, często uczniowie. Oni najwięcej niszczą. To pewnie taka dziecięca bezmyślność, im wydaje się, że to do zabawy. Nie ma kto wytłumaczyć takiemu małemu, nikt nie ma czasu. Dzielnicowi też się tym nie interesują, bo to dla nich za mała sprawa, a potem mówi się, że taki słup brzydko wygląda i trzeba będzie zlikwidować...

...czasami jakiś pijak kurczowo trzyma się ściany, odchodzi, ale pijackie kołysanie rzuca go znów na słup czy płot. Jak tak kilka razy obróci, to i po robocie...

...są i kolekcjonerzy. Stoją za plecami i marudzą: niech pan da jeden plakat. A jak miałem Pawlaka i Kargula, to nie mogłem się opędzić, i tysiąc by było za mało. Tak samo z „Pepsi". No to ja im mówię, że nie dam. Wtedy oni chcą kupić. I nie rozumieją, że po prostu nie mogę. A poza tym — jakie to nieuczciwe: sam by wziął do domu i oglądał, a tak mogą obejrzeć wszyscy...

...kolekcjonerzy bywają różni: mądrzy i złośliwi. Jeden potrafi zrozumieć i odejdzie, a drugi wróci — tylko, że wieczorem i będzie chciał odlepić. A jak się nie uda, to ze złości zniszczy, porysuje, zapaskudzi. Takiego to bym nie żałował, za karę powinien wiadro za mną cały dzień nosić...

...klej mamy swój. Firmowy. Robimy go z mąki normalnie. Łatwo daje się rozprowadzić, trzyma też dobrze. Chemia? Co tu może przemysł? To dla nich nie robota. Zaraz by się zaczęło: wynalazek, receptura, producent, opóźnienia, kooperanci, transport, przydziały... A tak: potrzebuję, to sam robię i mam...

...mało kto wie, że na ul. Piotrkowskiej przy Katedrze, jest zabytkowy słup ogłoszeniowy Jeszcze z XIX wieku! Taki stary i jeszcze „pracuje". Wiadomo, solidna robota...

...powiedzieli kiedyś, że w Telewizji ma być więcej reklam i że my będziemy niepotrzebni. Co to w Telewizji za reklama? Nie wiadomo o co chodzi, prędko, nikt nie wie kiedy co będzie. U nas wyraźnie napisane, można przeczytać, zastanowić się. Tak jak w książce. W kinie też są reklamy, ale złe: wszystkie jednakowe i do tego często brudne...

...najlżej w lipcu i sierpniu, bo wszyscy wyjeżdżają na urlopy, mało przychodzi zleceń. Teraz będzie coraz gorzej, coraz więcej pracy. Dopiero w maju się skończy...

...pyta pan co mi się w tej pracy najbardziej podoba? No, chyba wolność. Zawsze chodzę po swojemu: raz tak, raz inaczej. I nikt nie stoi nade mną, nie pogania, nie mądrzy się. W każdej chwili mogę sobie odpocząć, usiąść, pomyśleć. Ciekawa praca, ciągle coś nowego, nowe plakaty, na ulicach też się coś dzieje. Jednego dnia idę patrzę na dom, jeszcze przed wojną stał. A na drugi dzień już go nie ma. Zburzyli. I zaraz zaczynają budować coś innego. Hotel, albo jakąś drogę... dobra praca. Już zdążyłem się przyzwyczaić. Zmienić? A co ja będę zmieniał, tu mi dobrze, jestem inwalidą...

...bardzo lubię jeździć na wycieczki. Jeszcze nie raz pojadę. Nawet we Frankfurcie w NRD byłem. I co? Ładne miasteczko. Czyste. Zabytków tam dużo. A słupy ogłoszeniowe u nich piękne. Jeden w jeden, żeby takie u nas zrobić...

...albo we Wrocławiu. Tam też dbają o słupy. Lepiej niż w Łodzi. Każdy słup jak topola — wysoki, wąski. I nie widać żadnego zniszczonego. Jak coś się kruszy, to zaraz naprawiają, aż miło potem popatrzeć...

...na jedno wyjście zabieramy tyle plakatów, ile można unieść. I tak dzień w dzień, po sześć siedem godzin chodzi się po mieście z tym wszystkim. Przez dwanaście lat zebrało się tego sporo? Ile? Komu by się chciało liczyć? Na wszystkie domy w Łodzi pewnie by wystarczyło, może jeszcze dla Zgierza trochę by zostało...

TERMINOLOGIA

Rozmowie przysłuchiwał się przez cały czas kierownik punktu — **Jan Nowicki.** On przyjmuje zlecenia i załatwia całą papierkową robotę. Zapytałem go, jak oficjalnie nazywa się zawód wykonywany przez brygadę. Tego pytania chyba nikt się nie spodziewał. Kierownik pomyślał chwilę i powiedział: rozlepiacz afiszów. Pan Mieczysław sprostował: rozlepiacz, ale plakatów. Ktoś dodał: najlepiej będzie napisać pracownik fizyczny...

I niby wszystko jest w porządku — ludzie są, praca jest, tylko nazwy nie ma.

ZBYSZEK

O Zbyszku Cybulskim napisano sporo. Najlepsza chyba i najbardziej osobista — to „Okno Zbyszka Cybulskiego" Jerzego Afanasjewa. Rzecz dziwna — mimo wciąż niegasnącej legendy tego aktora, ta najlepsza, najpełniejsza i najbardziej wzruszająca książka nie doczekała się wznowienia.

Ukazała się natomiast rzetelna i dobra monografia zmarłego niedawno Konrada Eberhardta, w cyklu „Aktorzy filmowi świata". Czterdziestoletnie życie Cybulskiego było ruchliwe i barwne, jego dorobek jest wszechstronny i bogaty. Obejmuje role teatralne telewizyjne filmowe i radiowe — zarówno w repertuarze tragicznym, obyczajowym jak i komediowym Są lata w których kreował po kilka ról dając przykład niezwykłej pracowitości i dynamizmu.

W ciągu swego krótkiego życia zagrał Cybulski ponad 60 ról i to z reguły dużych, albo wręcz pierwszoplanowych. Od roli Ferdynanda w „Intrydze i miłości" w roku 1953 po nie dokończoną rolę Rodeckiego w filmie Aleksandra Ściborа—Rylskiego „Morderca zostawia ślad".

Aktor ten stał się modelem dla tysięcy młodych ludzi, imitujących jego wygląd, sposób bycia, a nawet coś więcej: klimat wewnętrzny. Ten aktor, którego kwalifikacje aktorskie bywały poddawane w wątpliwość, stworzył postać— symbol istotę, której fikcyjne istnienie miało ciężar istnienia rzeczywistego. Ten aktor, niezbyt rozpieszczany przez krytyków i reżyserów stał się jedynym polskim aktorem, który pokonał bariery granic. Jego nazwisko obok paru innych polskich nazwisk, miało dla uszu zagranicznych widzów znajome brzmienie.

Zbyszek Cybulski stał się bowiem kimś potrzebnym i bliskim milionom ludzi. Jego istnienie było odczuwane jako wspólne bogactwo, jako wspólna własność. Jego odejście było bolesną stratą która w większym lub mniejszym stopniu dotknęła wszystkich.

Konrad Eberhardt „Zbigniew Cybulski", Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena zł 32.

ZATRZĘSŁA SIĘ ZIEMIA

Francisa Clifforda nie znajdziemy w wydanym parę lat temu „Słowniku pisarzy świata". Świadczy to zresztą tylko o dość zawodnej nieraz wartości różnego rodzaju leksykonów. Francis Clifford jest bowiem pisarzem bardzo znanym i chętnie czytanym, także przez polskiego czytelnika.

Dość powiedzieć, że znaczną popularność zdobyły w Polsce jego powieści: „Rozkaz — zatrzymać", „Zielone łąki raju" „Czas to zasadzka" „Zatrzęsła się ziemia"... Tę ostatnią powieść wydano powtórnie nakładem Instytutu Wydawniczego PAX. Podobnie jak inne utwory, tego zmarłego niedawno pisarza angielskiego, także „Zatrzęsła się ziemia' przykuwa uwagę dramatyzmem akcji i interesująco ujętą problematyką moralną.

Akcja dzieje się w małym hiszpańskim miasteczku nawiedzonym przez trzęsienie ziemi. Wskutek działania żywiołu dwustukilogramowy dzwon kościelny obsunął się i grozi w każdej chwili upadkiem. Trzeba szybko usunąć niebezpieczeństwo. Kto spośród ludności miasteczka podejmie się tej pracy? Kto będzie na tyle odważny, że nie zawaha się narazić życia, by uratować życie innych? Kto w tej trudnej sytuacji wykaże poczucie odpowiedzialności?

Francis Clifford „Zatrzęsła się ziemia", Wyd. PAX, cena zł 25,—.

SZKICE O POEZJI

Bohdan Drozdowski wchodził do literatury poprzez dziennikarstwo. Jego pierwsze wiersze nosiły wyraźne znamiona publicystycznych pasji autora. Potem minęły lata. Drozdowski zajął się dramatem i przekładami, ale zawsze na marginesie prac literackich uprawiał publicystykę i felieton.

W nowej książce Bohdana Drozdowskiego „Szkice o poezji" ten publicystyczno-felietonowy ton jest także obecny. Nie jest to zarzut — skądże znowu! Dzięki temu książka Drozdowskiego jest lekturą do czytania, a nie do postawienia na półce biblioteki uniwersyteckiej.

Być może niektóre sądy Drozdowskiego o poezji mogą zabrzmieć ostro i niesprawiedliwie, ale są to z pewnością sądy własne oryginalne. Do ogromnego zestawu literatury krytycznej wnosza osobisty niebanalny ton Pisze na przykład Drozdowski: „Broniewski zawsze głosił, że jemu o wiersz najtrudniej. Łatwo było Tuwimowi i Słonimskiemu, ale cóż z tej łatwizny zostaje?".

Pisze Drozdowski o Szymborskiej: „Naiwna — ciągle wierzy, że schemat, nawet zaaprobowany uprzednio przez publiczność może wieść ku następnym sukcesom lub poprzednie utwierdzać. (...) Jako autorka jest konserwatystką, jest Narcyzem w spódnicy, ponieważ nie potrafi rozstać się ze światem który kiedyś przyniósł jej sukces, tak jakby nie potrafiła pogodzić się z myślą, że czas płynie naprawdę, że Heraklit miał racje także w odniesieniu do niej samej".

Gdyby nawet tym opiniom odjąć te wszystkie „prywatne" złośliwości, jakie Drozdowski kieruje pod adresem Szymborskiej to i tak jego esej (czy raczej felieton) o poetce byłby naznaczony piętnem faktu, że różnica dokonań poetyckich obojga pisarzy jest jednak na korzyść Szymborskiej I to stawia Drozdowskiego w sytuacji dwuznacznej.

Ale w tym właśnie wartość i atrakcyjność owej książki felietonów o poezji Po prostu jest to książka żywa, poruszająca, skłaniająca do zacietrzewienia (sama zresztą nie jest wolna od zacietrzewień) do niezgody.. Kiedy się czyta szkice Drozdowskiego, człowiek wie, że pisał je artysta pełen pasji, niesprawiedliwy nieraz, ale za to autentyczny.

Bohdan Drozdowski „O poezji — szkice", Wyd. Iskry, cena zł 38,—.

WOJNA I POLEMIKI

Alojzy Sroga jest pisarzem jednego tematu, któremu na imię wojna. Zresztą Sroga niechętnie nazywa sam siebie pisarzem, uważa się raczej za reportażystę i publicystę. Ale przecież „Początek drogi — Lenino" to już więcej niż reportaż, to wielka literatura, kto wie czy nie największa książka o Polakach pod Leninо, a także przed Leninо i po Leninо.

Pisze Alojzy Sroga: „Może pisarz fantazjować, ile chce, choć osobiście twierdzę że najciekawsze losy tworzyło życie. Nie może jednak — w moim głębokim przekonaniu — reportażysta publicysta działający na obszarze literatury faktu, bezkrytycznie wierzyć każdej bredni, a tym bardziej przedstawiać ją czytelnikowi słuchaczowi jako prawdę Szczególnie to szkodliwe, gdy podobne bzdury sączy się w umysł młodzieży nie mającej własnego doświadczenia wojennego, nie mogącej nawet weryfikować pewnych faktów".

Jest to podstawowe credo nowej książki Alojzego Srogi, zatytułowanej „Bez retuszu", z podtytułem „Polemiki i refleksje". Jest to znakomicie napisana książka polemiczna rozprawiająca się z pomyłkami, przeinaczeniami i pospolitą bzdurą, jakie szerzą się na łamach różnych okolicznościowych (i nie tylko) publikacji o polskim wysiłku zbrojnym ostatniej wojny.

Alojzy Sroga „Bez retuszu", Wyd. MON, cena zł 25,—.

RECENZJE

MIEJSCE NA ZIEMI

Po „Wypadku" (1976), będącym powieściową próbą zapisu istotnych zagadnień polskiej współczesności lat siedemdziesiątych, Wacław Biliński powrócił w najnowszej swej powieści* do tematyki znanej z poprzedniej jego twórczości: tuż powojennej historii Polski i Polaków, do swoistego okresu zawieszenia między wojną a pokojem w roku 1945. Jeżeli jednak w „Lecie po wojnie" (1960) czy w „Losie i łucie szczęścia" (1971) przedmiotem fabuły było środowisko wojskowe, to w powieści „Wrócić do siebie" większość postaci zdążyła już zamienić mundur na cywilne ubranie. Zamiana kostiumów nie zmienia przecież ludzi, nie czyni ich innymi. Stan pokoju nie przekreśla automatycznie faktu wojny. Fizyczne i psychiczne skutki wojny trwają nadal. Ich terapia jest długotrwała i skomplikowana, lecz nie niemożliwa. Zależy od wysiłku, charakteru i woli człowieka, bowiem świat zewnętrzny postawi złośliwie tysiąc przeszkód by uniemożliwić jednostce „powrót do siebie". Ale świat zewnętrzny to także inni ludzie. I zdarza się niekiedy, że pomoc przychodzi od tych innych. Wszyscy, choć osobno i odmiennie doświadczeni wojną, przeżyli cząstkę wspólnego losu. Obecnie, jeśli Wielka Choroba ludzkości nie poczyniła zbyt dużych wewnętrznych spustoszeń, szukają ratunku w zbiorowości, w zbiorowym działaniu lub w drugim konkretnym człowieku. Wiedza o własnych okaleczeniach ułatwia porozumienie z innymi, równie poranionymi. Wielu poszukuje swojego miejsca na zniszczonej ziemi, gdzie można by odpocząć, zaleczyć rany i wrócić do normalnego życia. Takim miejscem w powieściowym świecie Bilińskiego staje się Pobojowisko Pomorskie, miasteczko w Szczecińskiem, do którego trafia latem 1945 r. Bohdan Łanowiecki z ekipą zdemobilizowanych żołnierzy-techników.

Nie ostygły jeszcze ślady wojny. Ruiny, wypalone lasy, zaminowane drogi i pola. Wciąż rozlegają się strzały, wciąż jeszcze giną ludzie. Na ziemie „niczyją" powoli napływają osadnicy. Pobojowisko Pomorskie stopniowo zaludnia się, chociaż egzystencja jest tu chwiejna, niepewna. Ściągają licznie i tacy których żywiołem jest rabunek, szaber, gwałt i bezprawie. Załatwiają swe porachunki uczestnicy zbrojnego podziemia. Stąd wyprawiani są na Zachód członkowie likwidowanych lub rozbitych band. W okolicach działa Wehrwolf. Młoda, nieokrzepła władza usiłuje zapanować nad chaosem, przywrócić ludziom bezpieczeństwo.

Trud nowego, pionierskiego życia zilustrował Biliński losami Łanowieckiego i kilkunastu drugoplanowych postaci. Główny bohater, cierpiący na epilepsję pourazową, stanowi przykład człowieka „wypluteго" przez żarłoczny organizm wojny. „Wszystko, co w tym miasteczku wegetowało, stanowiło odpady wojny. Jej produkty uboczne. I on należał do tej kategorii" (s. 32).

Codzienność Pobojowiska nie sprzyja rekonwalescencji. Trwanie w ustawicznym napięciu nerwów, w lęku przed atakiem choroby, w stanie permanentnego zmęczenia wywołanego Wielką Chorobą — wojną powoduje stresy i chęć ucieczki. W miarę upływu czasu aktualna rzeczywistość angażuje jednak coraz mocniej, wciąga Łanowieckiego (a także innych) praca nad budową zrębów nowego życia, miłość do Łucji rodzi pragnienie stabilizacji. Pobojowisko Pomorskie z wolna zatraca swą obcość, przestaje być etapem w podróży. Doświadczywszy przygód godnych bohatera westernu, Łanowiecki wraz z Łucją wracają doń jak do bezpiecznej przystani. „Nie było widać ruin, zgliszczy, ran wojennych. Kurtyna deszczu zamazywała sylwetkę Pobojowiska. Jedynego — jak pomyślel oboje z ulgą — własnego ich miejsca na ziemi" (s. 302).

„Wrócić do siebie" nie jest zapewne powieścią na miarę najwyższych ambicji pisarskich Bilińskiego. Jest książką do czytania, napisaną piórem sprawnego warsztatowo prozaika, umiejącego zręcznie konstruować fabułę i opatrzyć ją żywą, skondensowaną narracją. Szkoda jedynie, że narrator pozwala sobie czasami na trywializmy, których powstydziłby się niejeden z powieściowych bohaterów, nie mających wszak ani specjalnego wykształcenia, ani pretensji do posługiwania się piękną mową ojczystą. Oto przykład, w którym i styl budzi pewne wątpliwości:

„Skarbów tych, tak jak i samochodów, trzeba było pilnować, bo na ulicy roiło się od typów, po których widać było, że ryzyk-fizyk gotowi są na wszystko. Łanowiecki zjadł więc obiad w pierwszej kolejce. Knajpa zapchana była po brzegi, lecz zamówione flaki, golonkę i piwo szczecińskie dostał w try miga. Pojadłszy pierwszy raz tak delikatesowo od wielu miesięcy, wyszedł zmienić Batorowskiego" (s. 181).

Cenną zaletę powieści stanowi brak w niej werbalnego elementu dydaktycznego i wartościującego. Wprowadzając narrację trzecioosobową, zobiektywizowaną, nastawioną wyłącznie na prezentację, pisarz wyrzekł się jakichkolwiek bezpośrednich osądów, wszelkiego moralizowania. Odbiorca zostawiony sam na sam ze światem przedstawionym czuje się niejako zmuszony do zajęcia własnego stanowiska, do przemyśleń. Pozbawiony wygodnego parawanu autorskich komentarzy, zdany jest na współuczestnictwo w zdarzeniach i perypetiach literackich postaci.

Postawiwszy czytelnika w sytuacji wyboru, twórca „Nagród i odznaczeń" zaledwie sugeruje oceny poprzez odpowiednią konstrukcję wątków (casus sierżanta Wróbla czy też szabrownika Dziewiczki), częściej jednak rezygnuje nawet z tak dyskretnego sposobu zaznaczania swej obecności. Tak to wyglądało — zdaje się mówić — i nic nie odmienij takiego właśnie obrazu owych lat, co najwyżej można pragnąć, by wojna i jej konsekwencje nigdy się nie powtórzyły.

Nie po raz pierwszy Biliński występuje przeciwko wojnie jako obrońca wartości humanistycznych: ludzkiej godności, prawa samostanowienia o sobie, wolności do życia bez przymusów i zniewoleń, bez śmiertelnego zagrożenia. Wystarczy przypomnieć zagubienie, dezorientację jednych, prostrację, niemożność przystosowania się do powojennych warunków innych postaci z „Lata po wojnie". Zło płynące z Wielkiej Choroby unaoczniają także dzieje trzech oficerów i grupa cywilów w „Nagrodach i odznaczeniach", chociaż opatrzenie fabularnych wydarzeń siatką znaczeń politycznych nadaje tej powieści szerszą i pogłębioną wymowę. Niszczący charakter wojny najdobitniej wszakże udokumentowany został w „Losie i łucie szczęścia" historią Andrzeja Rupa. Człowiek — w świetle zrekonstruowanych sensów utworu — jest igraszką losu. Losem tym jest wojna miażdżąca wszystko, co się dostanie w jej tryby. Rezultatem wojny jest nie tylko okaleczenie moralne. Ona niszczy człowieka totalnie. Nie pomoże mu „łut szczęścia", jakiś wyjątkowy, indywidualny przypadek; mechanizm wojny nie uznaje szczęśliwych, indywidualnych przypadków.

W powieści „Wrócić do siebie" tragiczna wizja ludzkiego losu otrzymała optymistyczną perspektywę. Łanowiecki posiadał ów przysłowiowy łut szczęścia i ocalił życie. Tym samym zarówno on jak i jego współtowarzysze, a także inni mieszkańcy Pobojowiska — wszyscy, którzy przeżyli „czasy pogardy" — mają szansę „wrócić do siebie".

Liczną galerię powieściowych osób dopasował autor ściśle do czasu i okoliczności, w których przyszło tym ludziom żyć. Świadomość ich zawiera tylko to, co mogło w niej istnieć latem i jesienią 1945 r. Posiadają ograniczoną — właśnie adekwatną do sytuacji — zdolność rozumienia i odczuwania chwili przełomowej w dziejach narodu. Odheroicznieni bohaterowie, zwycięzcy pokonani wojną — dostrzegają świat na odległość swojego wzroku, myślą na swój własny, prywatny użytek, mówią bez pseudopatriotycznego, państwowotwórczego frazesu. Są bardzo zwyczajni, lecz bynajmniej nie prymitywni. I to oni właśnie tworzą nową, powojenną rzeczywistość, są pozytywnymi bohaterami polskiego Dzikiego Zachodu.

Biliński poniechał psychologizowania, wiwisekcji wnętrz swoich postaci. Osobowości, przeżycia, mentalność ludzi przejawiają się w ich działaniu i mowie. Proza uzyskuje przez to męski, pełen dynamizmu i dramatyczności wygląd. Harmonizuje zewnętrzną szatą z niełatwą, często brutalną treścią ówczesnego życia.

W omawianej powieści autor „Boju" nie daje syntetycznego obrazu zasiedlania Ziem Odzyskanych. Ale wskutek nagromadzenia w fabule mnóstwa ważnych i drobnych realiów — co jest stałą cechą prozy Bilińskiego — dzięki umiejętnemu nadawaniu pojedynczym faktom i scenom znamion zjawisk ogólniejszych, zminiaturyzowany świat Pobojowiska Pomorskiego może stanowić egzemplifikację procesów zachodzących w roku 1945 na Ziemiach Odzyskanych egzemplifikację rzetelną i wiarogodną.

STANISŁAW MAJCHROWSKI

---

* Wacław Biliński, Wrócić do siebie. Powieść. Poznań 1977.

ANACHORETES

Jednym ze stałych tematów literatury współczesnej jest outsiderstwo. Ten typ postawy, bo już o postawie trzeba tutaj mówić, zrobił kiedyś karierę pod sztandarami egzystencjalizmu, znalazł swoje teoretyczne uzasadnienie w słynnej swego czasu książce Colina Wilsona („Outsider" — wyd. polskie 1959) i pozornie zniknął na dłuższy czas, by nieustannie odradzać się w coraz to nowych przebraniach. Mieliśmy więc literaturę marginesu społecznego, bohatera spod budki z piwem, legendy o poetach nieprzystosowanych i zbuntowanych (Bursa, Wojaczek), a i wreszcie współczesny everyman (np. Pan Cogito) z wyboru czy z konieczności, jest także kolejną realizacją tematu.

O ile jasna jest społeczna proweniencja pojawienia się motywu bohatera z marginesu, o tyle trudniej zauważyć jego związki z głęboko zakorzenionymi w kulturze toposami wędrowca, wygnańca, everymana w poezji tzw. kulturowej, klasycyzującej. Wydaje się, że postawa outsidera i everymana wykluczają się nawzajem. Outsider jest zawsze samotną jednostką wyrzuconą przez społeczność ze swego grona, natomiast everyman jest każdym, pojemnym wzorem przez swoją typowość właśnie scalającym istnienia poszczególne, łączącym je poprzez ujednolicający wpływ wzoru. Uniwersalizm everymana w kulturze XX wieku jest jednak nie do utrzymania. W średniowieczu był on możliwy dzięki wierze w obiektywne istnienie absolutnych wartości. Subiektywizacja wartości i obowiązków, właściwa naszym czasom, tworzy z everymana postać hybrydalną, wewnętrznie sprzeczną. Uniwersalizm dotyczy już tylko wzorów zachowań, natomiast stosunek podmiotu do własnych zachowań jest jak najbardziej indywidualny. Dlatego właśnie outsider i everyman mogli obecnie tak się do siebie zbliżyć.

Ostatni tomik wierszy Ziemowita Skibińskiego jest jeszcze jedną współczesną próbą ucieczki przed outsiderstwem i jego przekleństwem. Jest to oczywiste balansowanie na krawędzi. Jednocześnie budowanie i rujnowanie. Każde bowiem przesłanie pana Cogito jest subiektywnym przesłaniem człowieka, któremu kiedyś obtarła się pięta. Żadne jego słowo nie jest dla ludzkości słowem zobowiązującym, każde jest podejrzanym, bo tylko subiektywnym.

Czy jest z tego zaklętego koła jakieś wyjście?

Zbyt dobrze wiemy, że dla nas już nie szczęście, ale właśnie owe figury i głosy przemijające pozostały.

Był czas, kiedy Skibiński widział we wzorach kulturowych możliwości ocalenia. Poprzedni tomik był pochwałą teatru życia ludzkiego, dzięki któremu można było zachować przed natręctwem zewnętrzności własną osobowość. Podmiotowi jak gdyby zależało na uzyskaniu statusu anachorety, pustelnika, gdyż ta postawa gwarantowała mu wewnętrzną wolność. Mur, jaki kultura stawiała między jedną podmiotowością a drugą, wydał się murem ochronnym. Obecnie poeta wraca do pierwotnego znaczenia słowa anachoreta: ten, który nie w chórze. Ważna jest już nie wolność, ale warunki współegzystencji z innymi. Odejście z chóru jest konieczne, bowiem

Ten, który nie w chórze,
słyszy chór lepiej niż śpiewający w tłumie

ale jednocześnie

który nie w chórze
bez chóru żyć nie może...

W ten sposób samotność wikła Skibiński w różne konteksty. Jest ona konieczna, by nie być baranem z trzody Panurgowej, konieczna jako postulat moralny i jest także konieczna jako naturalna sytuacja egzystencjalna świadomej siebie podmiotowości. Właśnie ten nowy ton, samotność jako uwierzytelniony przez kulturę postulat moralny, stwarza możliwości wyjścia ku innym. Wyjścia współczującego i rozumiejącego.

„Jestem samotny, samotny w każdym innym, a radość moja i nadzieja w tym, że kiedy trzcina chyli się od wiatru z otchłani i własnego nadmiaru, Ty z nią pochylasz się w zamyśleniu — zwątpieniu. I to jest nasza więź, wspólna samotność?"

Tym drugim z wiersza jest Bóg, wiersz kończy się znakiem zapytania, ale przecież nie zamyka sprawy. Podstawowe motywy nowego tomiku wędrują po obwodzie koła, wiążąc początek z końcem. Zarówno wędrówka w czasie („Epizod Krucjat"), jak i wędrówki w przestrzeni (We Włodzimierzu nad Klaźmą), czy wreszcie jednocześnie w czasie i przestrzeni („Elegia wielu czasów"), zawsze są powrotem do siebie, siebie wzbogaconego w czasie wędrówki, ale też i drogą rozczarowanego.

dziejąc się
trwam tak bezsilnie,
niezmiennie.

Naturalnym efektem podróży w poszukiwaniu sensu, w poszukiwaniu inności, by lepiej zrozumieć siebie, jest przesunięcie zainteresowań z rzeczy na znaki kultury wyjawiające w procesie interpretacji sens, sens znaków i sens naszego życia. Nie należy się więc dziwić, że wędrówka traci swoją dosłowność a nabiera cech znanego z literatury moralitetowej toposu. Ulubioną podróżą Skibińskiego jest podróż do źródeł. Pierwszy, programowy niejako wiersz nosi tytuł „De fontis natura". W innych niejednokrotnie wraca zarówno do źródeł własnej biografii, jak i do źródeł kultury śródziemnomorskiej. Wędrówka ta, podobnie jak w wielu nurtach współczesnej filozofii, odbywa się w celu poznania samego siebie. A ponieważ wiedza o sobie samym jest celem, owo pozorne cofanie się jest jednocześnie wypełnianiem, dochodzeniem. Paradoksalnie źródło staje się jednocześnie ujściem rzeki. W ten sposób w myśl inspiracji Heglowskich, krąg poznania i wędrówki zamyka się.

Dla poety oczywiście najciekawszy jest nie końcowy rezultat, jest on bowiem z natury rzeczy bezproblemowy, ale to, co najbardziej ludzkie, pełna odpowiedzialności przy wątpliwej wiedzy w czasie wędrówki. „De fontis natura" jest zresztą dość wyraźnie wierszem polemicznym wobec „Spadania" Różewicza. Podobnie jak w poemacie moralisty nie ma dna i spadanie odbywa się we wszystkich możliwych kierunkach w wierszu Skibińskiego źródło jest jednocześnie wysoko i głęboko. Podobnie jak u Różewicza spadanie jest procesem bez końca, u Skibińskiego dochodzenie do źródła jest nieskończone. Różnica polega na tym, że Różewicz wiąże godność człowieka z wypełnieniem ponadosobowo ważnych norm moralnych i dlatego wątpi w możliwość realizacji człowieczeństwa nie widząc oparcia dla niego w jakimś pozaosobowym absolucie, Skibiński natomiast godność człowieka upatruje w poświęceniu się poszukiwaniu wartości, nie wierząc w odnalezienie jakiegoś nowego dekalogu W „Akcie strzelistym" twórca jest postacią wewnętrznie sprzeczną, bowiem musi dążyć do absolutnej obiektywności wartości własnego dzieła, natomiast przez własną subiektywność i historyczność jest skazany na permanentne niedopełnienie, niezakończenie dzieła.

Niemożliwość obiektywnej sprawdzalności wartości człowieka przenosi pole walki o własną godność z zewnętrzności do wnętrza człowieka. Świat, jako system znaków mówiących, zostaje uwewnętrzniony, nie obcujemy bowiem z nim bezpośrednio, jedynie przez jego subiektywne interpretacje i interpretacje interpretacji. Wracamy znów do bardzo starego motywu psychomachii. „List zwrotny" jest przecież listem do siebie. Poeta niejednokrotnie wprowadza do wierszy elementy dialogu, ale dialogu z sobą. Jak w każdej uczciwej psychomachii rozmowa z własną duszą jest rozmową o sprawach najwyższej odpowiedzialności i o najważniejszych obowiązkach. Postulat szacunku i miłości dla innych jest posunięty tak daleko, że poeta pisze wiersz „Sobie — przyjacielowi", I zapewne dlatego, nie obawiając się posądzenia o banał, ogromną wagę przywiązuje do troski o płaczące dziecko:

Bowiem to,
że nocą czuwasz
przy drugim człowieku, (...)
znaczy — jesteś dobrym.

Przypomina się przy tej okazji nietypowa dla naszych czasów nieufność do nowości. Nie dowierzali nowinkom starożytni Grecy, a i jeszcze Schopenhauer notował: „nowe jest rzadko dobre, ponieważ to, co dobre, tylko przez krótki czas jest dobre".

Tomik Skibińskiego przynosi wiele ważnych problemów. Jego poezja zdaje się wracać do Norwidowej formuły: poezja i dobroć to jedno. Pewien niepokój budzi jedynie stosowana przez niego poetyka. Wydaje się, że poezja w takich wierszach powinna być jak najgłębiej, nie powinno się dostrzegać chwytów, którymi poeta robi wiersz. Skibiński być może siłą inercji przyjmuje sporo z dziedzictwa awangardy krakowskiej. I to mu najbardziej szkodzi. O ile barokowy w istocie koncept:

Który z natury wyprowadzasz
rzeczy,
rzeczy, które wyprowadzają ciebie
z natury...

jest znakomicie funkcjonalny, to skrótowości w stylu:

Zaprawdę radość śpiewać chcę,
choć umysłu natura wbrew

są oczywistym potknięciem. Czasami również można mieć wątpliwości, czy poezja stawiająca sobie tak istotne zadania moralne ma prawo pozwalać sobie na takie uroki i czarodziejstwa, jak np. w tym fragmencie:

Gdzie wikina wiła leniwie
wiotkie cienie
i niezapominajki zbiegały do
strumienia. (...)

Wątpliwości te nie umniejszają jednak znaczenia tego ważnego w poezji współczesnej tomiku.

JERZY PORADECKI

Ziemowit Skibiński, Anachoretes. Wydawnictwo Łódzkie, „Biblioteka Poetycka".

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

DOKTOR ANTONI CZECHOW

Zabiegiem bezsensownym jest klasyfikowanie artystów (zwłaszcza tych wysokiej miary) trochę na zasadzie współzawodnictwa sportowego — złoty medal, srebrny medal itd. Można oczywiście powiedzieć, że największym poetą rosyjskim był Aleksander Puszkin, bo po prostu konkurencja współczesnych nie była zbyt duża. Taki zabieg jest na przykład niemożliwy w przypadku polskich poetów romantycznych, co sprawiło, że ukuto slogan: „Trzech wieszczów" — Mickiewicz — Słowacki — Krasiński. Ale i ten zabieg nie zmienił sytuacji, bo niektórzy mówią o wieszczu czwartym — o Norwidzie.

Identyczna sytuacja jest w rosyjskiej prozie wieku dziewiętnastego. Dostojewski? Tołstoj? Czechow?

Więc nie o gradację dokonań mi chodzi, gdy piszę, że dla mnie najbliższym z wielkiej trójki rosyjskich pisarzy jest Antoni Czechow. Po prostu — Czechow jest mi najbliższy i nie znaczy to nic ponad to, że jest on pisarzem najbardziej przeze mnie ukochanym.

Nic więc dziwnego, że na najbardziej dostępnej półce mojej biblioteki stoi jedenaście tomów „Dzieł" Antoniego Czechowa, wydanych piętnaście lat temu przez „Czytelnika" w maleńkim nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy i do dziś nie wznawianych.

Nic też dziwnego, że mieszkając w moskiewskim hotelu „Pekin" pierwszego dnia pobiegłem na Sadowo-Kudrińską, numer 6 (z „Pekinu" niedaleko), gdzie stoi domek zupełnie z innej epoki. Wygląda niemodnie i staroświecko obok wysokich bloków. Na drzwiach tabliczka z napisem „Doktor A. P. Czechow". Wielki pisarz mieszkał tu zaledwie cztery lata — w ogóle w Moskwie mieszkał długo, naliczyć można co najmniej kilkanaście jego moskiewskich adresów, ale ten staroświecki domek jest symboliczny.

Na parterze gabinet, obok sypialnia — i tu i tam półki z książkami. To stąd, z tego domu wyjechał na Sachalin, to na tych półkach stoją książki, którymi pisarz posługiwał się przygotowując tę daleką podróż.

Z podróży tej nie przywiózł Czechow ani swoich mistrzowskich, miniaturowych opowiadań, ani sztuk. Przywiózł książkę-dokument, która wstrząsnęła ówczesną Rosją. Pomysł zwiedzenia wyspy Sachalin powstał u Czechowa w końcu lat osiemdziesiątych i był niespodzianką nawet dla jego najbliższych. Sachalin był słynnym i ponurym miejscem katorgi i przymusowej kolonizacji w carskiej Rosji.

Pisarz — jadąc tam — jechał w zamiarze poruszenia sumień, zobrazowania tragicznej sytuacji zesłańców. Do wyprawy przygotowywał się rzetelnie, studiował kodeks karny, historię więziennictwa, prace geograficzne, geologiczne, etnograficzne... W jednym z listów napisał: „Sachalin to miejsce największej męki, jaką potrafi znieść człowiek wolny czy uwięziony". W innym liście pisze: „Wiele widziałem i wiele przeżyłem, a wszystko to jest niezwykle interesujące i nowe dla mnie nie tylko jako literata, lecz po prostu jako dla człowieka".

Jako Człowiek napisał swój wstrząsający dokument „Sachalin". Publikacja ta, drukowana na łamach „Myśli Rosyjskiej" w latach 1893—1894 — została przerwana. W wydaniu książkowym dokument ukazał się w rok później, wstrząsając opinią publiczną. O Sachalinie zaczęto pisać i mówić — wszyscy późniejsi autorzy (prawnicy, dziennikarze) stwierdzali, że książka Czechowa była dla nich sygnałem alarmowym. Rząd carski został zmuszony do wprowadzenia pewnych reform w organizacji sachalińskiej katorgi.

Rosję dzieliło wówczas od Rewolucji Październikowej już tylko dwadzieścia dwa lata.

WIDOK

Antoni Czechow *Foto: Archiwum*

LEWYM OKIEM

KOMPOT Z JAGÓD

W szkole podstawowej jak wiadomo łatwiej jest otrzymać piątkę ze śpiewu niż z rachunków, a nawet mówi się, że uczeń z tuzinem dwój ze wszystkich przedmiotów, nagrodzony piątką ze śpiewu, nie bardzo ma się czym chwalić. Nawet jeśli ma jeszcze drugą piątkę — z rysunków. Rodzona mama rozgłasza wprawdzie dumną wieść, że syn otrzymał aż dwie piątki, przemilczając przy tym pozostałe oceny. Czy taka mama naprawdę ma się z czego cieszyć?

W Brukseli odbył się niedawno — jak co roku — międzynarodowy konkurs towarów „Monde Selection", do którego przystąpili także polscy producenci. Nie wiemy, które z naszych wyrobów konkurowały tam o medale i wyróżnienia, mające następnie ułatwić zdobywanie światowych rynków towarom najlepszym. Myślę, że wystawialiśmy nie tylko polish vodka, piwo żywieckie i kompot z czarnych jagód. Wódka ma od dawna całe naręcza medali i cieszy się po szerokim świecie równie głośną i zasłużoną sławą, co polscy pijacy. Za kompot przyznano nam w Brukseli złoty medal. Siedem złotych medali dostaliśmy poza tym za przetwory owocowo-warzywne, a więc zapewne jakieś ogórki w occie i konserwowaną fasolkę. Gdy czytam dumne wzmianki w prasie o tych światowych sukcesach, przypomina mi się owa mama pysznięca się piątką z rysunków, przyniesioną przez jedynaka. Piątką z najłatwiejszego przedmiotu, gdzie nie trzeba umieć prawie nic, bo wiadomo że wszystkie dzieci są świetnymi malarzami z urodzenia, a dopiero później — ucząc się — tracą radosną radość spojrzenia i spontaniczną celność ręki. Od piątki za jagodowy kompot wolałbym dwie — trzy trójki za precyzyjne aparaty, za maszyny i narzędzia, za obuwie i galanterię. Ale w tych branżach „Monde Selection" niczego jakoś z naszej oferty nie wyselekcjonowała.

Oprócz kompotu duże wyróżnienie w konkurencji międzynarodowej otrzymał jeszcze krakowski teatr „Cricot II", mianowicie Grand Prix festiwalu w Belgradzie. Ten sam teatr był rewelacją festiwalu teatrów awangardowych w Nancy. Bardzo się z tego cieszymy — my wszyscy, którzy znamy teatr „Cricot II", a jest nas w skali kraju kilkuset. Myślę, że liczba entuzjastów w Nancy i w Belgradzie jest jeszcze znacznie niższa, ale to nic, to są konkurencje elitarne, to nie Beatlesi i nie zespół ABBA, który — jak czytaliśmy — jest jednym z najbardziej dochodowych przedsiębiorstw w obrocie zagranicznym Szwecji.

„Cricot II" nie jest niczym w obrocie, jest pozycją do odnotowania w kategoriach kulturalnych. Bardzo nas ta pozycja cieszy. Bardzo nas martwi, że nie mamy w obrocie jakichś murowanych szlagierów prócz kompotu i fasolki, choć przecież jesteśmy jednym z bardziej uprzemysłowionych krajów świata. Tylko że ten przemysł nie produkuje na medal. Na medal z „Monde Selection".

P.S. Pisałem kiedyś niedawno, że ludzie różnie sobie wyobrażają piekło, a jakoś wcale nie mogą sobie wyobrazić raju. Na czymże ta wieczna szczęśliwość ma polegać? I oto natykam się na wzmiankę o jakże ciekawym wierzeniu Indian Południowoamerykańskich: raj to jest miejsce bez moskitów! A może by to szerzej i nowocześniej: szczęście to brak przykrości. Jest przecież i taka definicja wśród analizowanych przez profesora Tatarkiewicza w jego traktacie „O szczęściu". Nie ma moskitów i dosyć. Ale cóż: weźmy takiego Indianina do nas, albo na Antarktydę, albo do „ville lumiere" — Paryża. Moskity tam nie tną, a przecież Indianin po miesiącu zacznie skowyczeć z tęsknoty za swoją brzęczącą moskitami puszczą. Bo może raj jest tylko tam, gdzie nas nie ma? I może na tym polega mądrość hinduskiej nirwany: po śmierci będzie nam dobrze, bo nie będzie nas nigdzie, albo inaczej: bo wszędzie będziemy nieobecni?...

ĆWIEK

SPORT

MIRAŻE POPULARNOŚCI

W ostatnim czasie nasi sportowcy osiągnęli dwa liczące się w świecie sukcesy na mistrzostwach świata. Pięcioboiści zdobyli dwa medale — złoty i brązowy w konkurencji indywidualnej, a wszyscy razem wywalczyli dla Polski złoty medal w konkurencji drużynowej. Siatkarze natomiast potwierdzili swoją wysoką klasę zdobywając wicemistrzostwo Europy. Te dwa niewątpliwe sukcesy przeszły jednak bez większego echa, pięcioboistami entuzjazmowaliśmy się krótko, a występy siatkarzy, mimo srebrnego medalu, nie wzbudziły należytego zainteresowania. Więcej nawet, wielu było zawiedzionych.

Jeśli się przyjrzeć uważnie sportowym sukcesom w wielu różnych dyscyplinach, to widać wyraźnie, że tam, gdzie sukces przychodzi nagle, a zwycięska drużyna nie ma oparcia w licznej rzeszy następców, tam wcześniej czy później musi dojść do załamania. Potwierdzają to dzieje polskiej drużyny piłkarskiej po Mistrzostwach Świata w Monachium, a także i czeskich piłkarzy, którzy po pięknym sukcesie w Mistrzostwach Europy wypadli już z eliminacji do Mundial 78. Historia sportu zna też przykłady długotrwałej dominacji w poszczególnych dyscyplinach czy to zespołów, czy to poszczególnych zawodników. O ich zawsze wysokiej formie decyduje rzetelna, konsekwentna i mądrze planowana praca szkoleniowa.

Sukces naszych pięcioboistów też jest wynikiem długoletniej pracy, a Janusz Peciak, zdobywając kolejno: złoty medal olimpijski, Puchar Europy i tytuł mistrza świata potwierdził, że jest niewątpliwie najlepszym pięcioboistą w ostatnich latach. Sukces drużyny i trzecie miejsce Sławomira Rotkiewicza świadczą o tym, że mamy wszystkie szanse, aby polski pięciobój długo się liczył w świecie. Również siatkarze — po zmianie trenera i kilku zawodników nadal utrzymują swoją wysoką pozycję w światowej siatkówce, bo przecież jeden przegrany mecz z drużyną ZSRR hańby im nie przynosi. Mimo to popularność siatkówki zmalała, a o popularności pięcioboistów trudno w ogóle mówić.

Często się słyszy żale, że najpopularniejszą dyscypliną sportową w Polsce jest piłka nożna. Piłka nożna jest równie popularna na świecie, a to z prostego powodu, że gonienie dwudziestu panów za jedną piłką jest znakomitym widowiskiem wyzwalającym ludzkie namiętności. Widowiskowość tej gry podniosła jeszcze bardziej telewizja, przyczyniając się szalenie do powiększenia ilości kibiców tej całej zabawy. W ogóle telewizja powiększyła sportową widownię. Dzięki sukcesom niektórych zawodników i niektórych drużyn, odkryto nagle, że widowiskowa jest siatkówka, że znakomitym widowiskiem może być tenis. Widowiskowe walory siatkówki odkryto w czasie walki polskich siatkarzy o złoty medal Mistrzostw Świata w Japonii. Potwierdziło to się również w czasie Olimpiady, kiedy przez kilka nocy wstawaliśmy chętnie, aby pasjonować się wspaniałą grą Polaków walczących o olimpijskie złoto. Sukcesy Wojciecha Fibaka zmobilizowały naszą telewizję do transmitowania spotkań tenisowych. Na tym się właściwie wszystko skończyło. Ostatnio, mimo że Wojciech Fibak nadal utrzymuje się w czołówce, tenisa w telewizji nie uświadczysz. Można przypuszczać, że jeśli Fibakowi będzie wiodło się gorzej, to i piękna akcja budowania kortów tenisowych straci na swoim rozmachu.

Najławiej pokazywać jest te dyscypliny sportu, w których nagle rysuje się sukces. Ale to, jak widać z praktyki, nie zawsze wystarcza dla rozbudzenia trwałego zainteresowania konkretną dyscypliną sportu. Na Olimpiadzie w Montrealu polscy zawodnicy pokazali, że piłka ręczna też może być interesującym widowiskiem, godnym kamery. Ale Studio Sport piłką ręczną nie interesuje się. Nie interesuje się specjalnie tym, co się dzieje w koszykówce, w piłce siatkowej kobiet i w wielu innych dyscyplinach. Trzeba było dopiero afery w Nowym Targu, żebyśmy mogli się przekonać, jak fascynujący, nie tylko dla kibiców, może być dobrze zrobiony telewizyjny reportaż sportowy. W każdej dyscyplinie sportowej można znaleźć wiele trudnych i skomplikowanych problemów, o których można i trzeba mówić i dyskutować, nie czekając na skandale. Nawet w piłce nożnej, o której, wydaje się nam, że wszystko wiemy, jest wiele problemów wstydliwie ukrywanych, wokół których krążą plotki, niedomówienia, a które — wcześniej czy później — wychodzą na światło dzienne. Potrzebna jest więc w telewizji świadoma polityka w popularyzacji różnych dziedzin sportu. Polityka, która sprowadzałaby się nie tylko do transmisji ciekawych lub mniej ciekawych spotkań, ale uczyłaby kibica rozumienia całej złożoności tego, czym jest współczesny sport.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

HASŁA I RZECZYWISTOŚĆ

W powodzi różnych dni, tygodni i miesięcy poświęconych uczczeniu pracy różnych grup zawodowych, popularyzacji plastyki, kultury i teatru, walce z gruźlicą, pożarami i innymi, przypadłościami, całkowicie zginąć może miesiąc dobroci dla zwierząt. Wprawdzie nie jestem skłonny zachwycać się wszelkimi doraźnymi akcjami, a to z tego względu, że dobrym dla zwierząt trzeba być przez cały rok, a oszczędzać powinno się nie tylko w październiku, to przecież rozumiem, że wszystkie takie miesiące, dni i tygodnie mają przede wszystkim znaczenie propagandowe. Chodzi bowiem o to, aby zwrócić ludziom uwagę na potrzebę okazywania dobroci dla psów, kotów, koni i wszelkiej innej zwierzyny. Jeżeli jest miesiąc dobroci dla zwierząt i Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami apeluje do społeczeństwa, aby przeciwstawiało się biciu koni kablem telefonicznym, znęcaniu się nad psami i kotami, to zrozumiałe, że przeciwstawiać się takiemu okrucieństwu trzeba nie tylko w październiku.

Był czas, kiedy Liga Ochrony Przyrody wzywała młodzież i dorosłych do niedeptania trawników, niełamania krzewów i drzew, do zakładania karmników dla ptaków i sadzenia drzewek. Te hasła pozostają nadal aktualne, ale dla współczesnego człowieka jest oczywiste, że zdeptanie kawałka trawnika czy złamanie gałązki jest szkodą niewspółmierną do zatrucia rzeki czy atmosfery, lub zniszczenia kilkuset hektarów ziemi.

Z tego wprawdzie nie wynika, że globalne niszczenie środowiska usprawiedliwia indywidualny brak poszanowania przyrody. Natomiast wynika z tego zupełnie niedwuznacznie, że w walce z zanieczyszczaniem przyrody przez człowieka skuteczność wszelkich apeli i haseł jest znikoma w stosunku do prawnego systemu ochrony środowiska. Chociaż z praktyki dokładnie wiemy, że nawet najlepszy system obwarowany bogactwem kar i represji nie będzie sprawnie funkcjonował bez dobrej woli i przekonania posługujących się nim ludzi.

I tu się koło zamyka. Wracamy do punktu wyjścia. Do człowieka, od którego działalności wszystko zależy. Do człowieka, którego świadomość nie nadąża za szybko zachodzącymi zmianami, który ciągle nie rozumie, że sam też jest częścią przyrody i że mu nie wolno naruszać równowagi w tejże przyrodzie. Człowiek musi się uczyć prawdy o wszechzwiązku rzeczy, wzajemnej zależności i powiązaniach. I musi tego uczyć się już od najmłodszych lat, tak jak musi uczyć się, że nie jest na świecie sam i z tego powodu powinien umieć szanować byt innych.

Przyszło nam żyć w czasach, kiedy brak poszanowania dla innych stał się metodą osiągania egoistycznych celów. Śmieszne może wydawać się wzywanie do dobroci dla zwierząt, skoro ludzie nie potrafią szanować innych ludzi i z ich życia robią sobie argument przetargowy. Dla mnie wstrząsający jest fakt, że grasujący na świecie terroryści najczęściej nie mają ukończonych jeszcze trzydziestu lat, a więc urodzili się już długo po wojnie i wcale nie okrucieństwa światowej rzezi wpłynęły na ich zbrodnicze wynaturzenia.

Na szczęście coraz mocniejsze są głosy wzywające do zjednoczenia wysiłków rządów i państw w walce z terroryzmem. Wzywa się do zaprzestania dzielenia porywaczy samolotów na kierujących się względami politycznymi i tych, którymi kieruje chęć uzyskania okupu. Zjednoczenie wysiłków państw i rządów może zatrzymać rozwój terroryzmu, ale z drugiej strony trzeba też szukać sposobów na likwidację jego źródeł.

Warto przyjrzeć się systemom wartości obowiązującym w różnych modelach wychowawczych. Warto przywrócić znaczenie staroświecko, być może, brzmiącym nakazom poszanowania dla wszystkiego tego, co nas otacza. A przede wszystkim zdecydowanie przeciwstawiać się wszelkiej obojętności. W którymś bowiem miejscu narusza się obowiązujący system wartości, gdzieś się zaczyna tracić szacunek dla otoczenia. Jeśli te pierwsze kroki spotkają się z obojętnością, jeśli inni ludzie dojdą do wniosku, że to nie ich sprawa, to można łatwo uznać taką postawę za aprobatę i uważać się za człowieka ponad społeczeństwem. Nie bądźmy więc obojętni, ani w sprawach małych, ani w sprawach dużych. Brzmi to jak kolejny apel, ale taka jest, niestety, prawda.

MARCIN RODAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96 kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2320, W-11.